POPOŁUDNIE WSPOMNIEŃ

Historia rodzin wywiezionych podczas II wojny światowej
z Jasienia, Nawsia oraz Milikowa

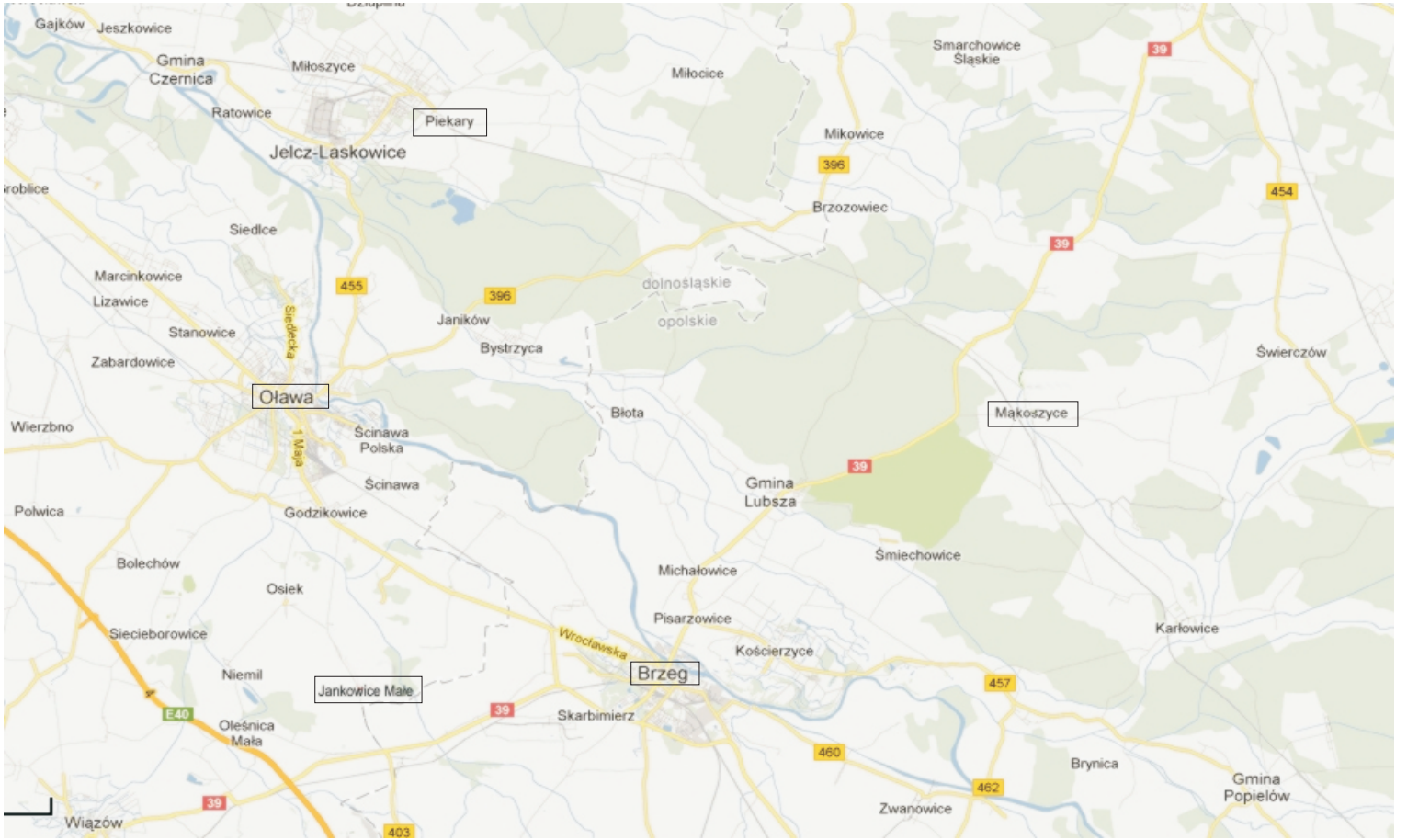
Gajków
Jeszkowice
Gmina Czernica
Miłoszyce
Ratowice
Piekary
Jelcz-Laskowice
Miłocice
Smarchowice Śląskie
Mikowice
Brzozowiec
Siedlce
Marcinkowice
Lizawice
Stanowice
Zabardowice
Oława
Janików
Bystrzyca
dolnośląskie
opolskie
Błota
Świerczów
Mąkoszyce
Wierzbno
Ścinawa Polska
Ścinawa
Gmina Lubsza
Polwica
Godzikowice
Bolechów
Osiek
Michałowice
Śmiechowice
Pisarzowice
Karłowice
Kościerzyce
Siecieborowice
Niemil
Jankowice Małe
Brzeg
Skarbimierz
Oleśnica Mała
Brynica
Gmina Popielów
Zwanowice
Wiązów
Wrocławska
Siedlecka
1 Maja
455
396
39
454
457
460
462
403
E40

Ku pamięci wywiezionym ...

Drodzy czytelnicy

„Popołudnie Wspomnień” to pisemne odzwierciedlenie programu imprezy pod tym samym tytułem, która odbyła się w Nawsiu Jasieniu 24.3.2012. Została ona zorganizowana przy współpracy z zarządem MK PZKO przez komitet organizacyjny rodzin, które przed siedemdziesięciu laty zostały przez hitlerowców wywiezione z Jasienia na prace przymusowe.

Po dłuższych staraniach udało się uzyskać dane o pozostałych polskich rodzinach wywiezionych z Nawsia oraz o rodzinach wywiezionych z sąsiedniego Milikowa. Chociaż czas zatarł pamięć o tamtych czasach, wspomnieniami podzielili się z nami niektórzy z wywiezionych lub ich potomkowie. Są to raczej już okruchy wspomnień. Przekazano nam także zdjęcia rodzinne i dokumenty z tego okresu, to co jeszcze w domach rodzinnych pozostało.

Dziękujemy za to.

Staraliśmy się zachować autentyzm wspomnień.

Dziękujemy również, że mogliśmy wspólnie poprzez tę publikację oddać hołd ludziom, których wojna tak bardzo skrzywdziła za to, że się nie ugięli i pozostali Polakami.

Za komitet wywiezionych rodzin: Ewa Kiedroń , Jan Kawulok

Komitet organizacyjny rodzin Polaków wywiezionych z Jasienia przez niemieckich okupantów przed 70 laty:
Ewa Kiedroń (przewodnicząca) , Emilia Gazurowa, Zofia Łabajowa, Jan Kawulok, Stanisław Sikora, Józef Bocek.

Za zarząd MK PZKO w Jasieniu :
Jarosław Madzia (prezes) , Janina Podgrabinska.

Wprowadzenie

Malutka osada Jasienie pod chłopską górą Kozubową była wiosną 1942 roku świadkiem smutnych wydarzeń. Od tamtych dni upłynęło równych 70 lat. Pisze się rok 2012, zmieniło się oblicze Jasienia i zmienili się jego obywatele. Została tylko garstka tych, którzy pamiętają wydarzenia z 23 kwietnia 1942, kiedy to II wojna światowa niszczyła cały dorobek minionych pokoleń a z maleńkiej osady Jasienie zostało wywiezionych dziewięć polskich rodzin na prace przymusowe w głąb Rzeszy.

– Pragniemy, żeby wydarzenia z tamtych dni nie poszły w zapomnienie, żeby nie pozostały w pamięci tylko tych najbliższych – powiedziała na wstępie spotkania główna organizatorka. Potomni oraz nieliczni żyjący jeszcze uczestnicy lub świadkowie tych wydarzeń podzielili się swymi przeżyciami. Wspomnienia zostały uzupełnione dokumentami oraz zdjęciami. Wspomniano również pana Jana Gazura, który przeżył grozę walk o Monte Cassino. Wszystko po to, aby uczcić pamięć uczestników i przekazać ich wspomnienia innym, szczególnie młodszemu pokoleniu. Wiedza o regionie stanowi bowiem ważne ogniwo w rozbudzaniu doznań intelektualnych i emocjonalnych oraz w kształtowaniu postaw przede wszystkim młodych mieszkańców tej ziemi. W ostatnich latach nikt nie podjął decyzji, by stworzyć kompleksową pracę na temat wysiedleń. Nawet w Głosie Ludu lub Zwrocie próżno szukać artykułów, które dotyczą wywózki Polaków z Zaolzia. A wysiedlenia przebiegały przecież zgodnie z koncepcją planu „poszerzenia przestrzeni życiowej" dla Niemców na Wschodzie – Drang nach Osten, dotknęły one również ludzi żyjących na terenie Zaolzia.

Obywatele Jasienia, którzy w czasie „Pierwszej Republiki" pomimo różnych nacisków nie zmienili narodowości, posyłali swoje dzieci do polskiej szkoły (wybudowanej w Jasieniu w roku 1926), nie ulegli również później germanizacji i nie podpisali Volkslisty. Poszanowanie języka ojczystego, a zatem świadomość językowa, szła u naszych dziadków i ojców w parze ze świadomością narodową. A jaki ich za to czekał los? Z historii wiemy, że inteligencję, tzn. księży, nauczycieli, lekarzy, ludzi działających w polskich organizacjach niemieccy faszyści wysyłali do obozów masowej zagłady, skąd wracali tylko nieliczni. W Jasieniu większość Polaków to byli ludzie prości, rolnicy, robotnicy, chałupnicy, tych czekał inny los oraz związane z nim krzywdy i cierpienia. Oni byli wysyłani na przymusowe prace do Rzeszy.

Centralnym miejscem, gdzie rodziny również z innych miejsowości były rejestrowane i przygotowywane do transpostu, była, obecnie już nieistniejąca, Czytelnia w Jabłonkowie. Tam odwieziono i nasze rodziny z Jasienia, bez względu na wiek – najmłodszy Janek Szkandera miał dopiero dwa miesiące.

A to rodziny, które spotkał los wysiedlenia:

- rodzina Szkanderów (od Łomianka/ów)
- rodzina Bocków (od Walka)
- rodzina Kantorów (od Kary)
- dwie rodziny Kawuloków (z Chałup Jerzego i Adama)
- rodzina Kawuloków (Spod Cesty)
- trzy rodziny Sikorów (Grzibków z Kalinowego – Władysława, Jana i Pawła)

Najstarszy członek naszego koła PZKO Jasienie, pan Jan Kapsia, który zmarł w 2011roku, był wywieziony z domu rodzinnego, wtedy jeszcze na Nowinie i musiał pracować u Niemca gdzieś koło Ostrawy. Swe gospodarstwa musiały opuścić rodziny Łoboziaków i Stańców (z Przybyłowic). Miały nakaz pracy gdzie indziej. Rodzina Stańców podobnie jak rodzina Szlaurów (Spod Losków) była wywieziona do Reichu. Polak nie mógł być właścicielem gospodarstwa rolnego czy warsztatu. Na miejsce wysiedlonych Polaków zostali osadzani Niemcy – bauerzy. Z własnego domu i własnego warsztatu stolarskiego w Suchej Średniej została na tej samej zasadzie wysiedlona jesienią 1942 roku rodzina Kiedroniów z jedenastoletnim synem Adolfem, obecnym członkiem naszego MK PZKO.

23.4.1942 roku z Nawsia było wywiezionych wiele rodzin m.in. rodziny Janiczków (Stroczoków), rodzina Sikorów (od Dąbka), rodzina Czudków, rodziny Kantorów, rodzina Michałków, Suszków, rodzina Dordów. Z Mostów koło Jablonkowa Polaków wywożono 22.4.1942 i wspomnimy tylko rodzinę Antoniego i Anny Wacławków oraz rodzinę Pyszków. Los ich rzucił w te same miejsca Reichu, gdzie byli wywiezieni obywatele Jasienia i Nawsia. Tam się wzajemnie wspomagali w trudnych wojennych latach. Przyjaźnie tam nawiązane przetrwały i w latach powojennych.

– Jak dobrze było, kiedy człowiek tam w cudzym świecie usłyszoł język bliski sercu – po naszymu, zaroz też sie duszyczka roześmioła a serduszko raźniej podskoczyło – wspominała pani Kawulokowa Spod Cesty.

Niektóre momenty naszej przeszłości przechodzą w zapomnienie, a to jest wielka szkoda. Organizatorzy postanowili wspomnienia spisać i wydać książkę. Zostanie tak napełnione hasło: „Nie pozwólmy zginąć wspomnieniom". Historia przekazywana ustnie jest dla zachowania pamięci sprzed lat bardzo ważna, ale słowo pisane ma o wiele większą wartość.

Ewa Kiedroń, Emilia Sikora

Czytelnia Jabłonków - przygotowania do transportu

Rodzina Szkanderów (Łomnianków) nr 35

Szkanderowa Maria
**18?? - ✝1950*

Szkandera Józef
**1913 - ✝1964*

Szkanderowa Joanna
**1917 - ✝2002*

ich dzieci :

Szkandera Anna
**1939*

Szkandera Helena
**1940 - ✝2002*

Szkandera Jan
**1942 - ✝2000*

Szkandera Józef
**1943 w Jasieniu*
✝1967

rodzeństwo Józefa :

Szkandera Jan
**1915 - ✝1994*

Szkandera Anna
**1924*

Szkandera Maria
**1930*

Cała rodzina Szkanderów Łomnianków została wywieziona do Oławy (Ohlau) koło Brzegu (Brieg), gdzie pracowała u bauera Schultza.

Józef głównie jeździł z końmi, jego brat Jan troszczył się o bydło - jeździł w polu z wołami itd.

Joanna była również wyznaczona do pracy (harówki) w polu a jej schorowana teściowa Maria zajmowała się małym Jankiem.

Wszyscy wrócili z robót przymusowych.

Zdjęcia udostępniły Emilia Sikora i Maria Ćmiel, urodzone po wojnie córki Józefa Szkandery oraz Anna Jadamus, córka Jana Szkandery

Joanna i Józef Szkanderowie

80 lat p. Szkanderowej

Sikorowa Helena *Szkanderowa Joanna*

Wywózka rodziny mej siostry Johanki czyli rodziny Szkanderów

Było to w roku 1942 gdzieś kole świętego Jerzego, dokładnie już nie pamiętam. Nocą, chyba koło drugiej nad ranem, przyleciał do nas, wtedy do Martynków ze Skosu, pan Byrtus ze Skrętu z informacją, że Niemcy gotują się wywieźć rodziny Polaków z Jasienia do Rzeszy na roboty. Pamiętam, że pan Byrtus przyleciał na boso, w samych tylko gaciach. Końskie zaprzęgi, po naszymu wozy, już czekały na Skręcie na swój załadunek, było to na skrzyżowaniu dróg Milików – Boconowice – Nawsie, kiedyś u Byrtusów, później u Pilchów.

Tam pan Byrtus przebudzony hałasem zasłyszał, że jeden z wozów był przeznaczony dla rodziny Szkanderów, czyli dla rodziny siostry Johanki - znana była wtedy jako Johanka od Ćmiela. Mój ojciec, Józef Martynek, po otrzymaniu tej informacji próbował u Niemców interweniować. Znał język niemiecki. W tym czasie dwaj jego synowie, czyli moi bracia Janek i Władek, byli już wcieleni do sił Wehrmachtu. Mój trzeci brat Józek wtedy już nie żył. Poległ na północnym froncie, gdzieś w Norwegii. Nie pomogły prośby mego ojca, że Szkanderowie mają małe dzieci: 3-letnią Hankę, 2-letnią Helenkę i dwumiesięcznego syna Janka. Cała rodzina Szkanderów z Jasienia miała być wywieziona – brzmiała ostateczna decyzja. Dotyczyło to rodziny mej siostry Johanki, jej teściowej oraz rodzeństwa Józefa (męża Johanki) – Jana, Anny i Marii Szkanderów. Nie podobało się Niemcom, że ojciec wstawił się za tę rodzinę i prawie kosztowało go to życie. Niemcy odprowadzili go w stronę lasu i mieli zamiar go zastrzelić, ale tego nie uczynili, dokładnie nie znam przyczyny, która zmieniła ich decyzję.

Kiedy nadszedł dzień wywózki, pobiegłam z bratem Alojzym, żeby pożegnać siostrę i jej rodzinę. Miałam wtedy 11 lat a brat był czternastoletnim wyrostkiem. Kiedy polecieliśmy na pola nad Czeczotków, wozy od Szkanderów już zjeżdżały w dół w kierunku skrętu. Wtedy udało się siostrze Johance podać mi małą Helenkę. I tak przeżyła Hela, później Wacławek z Milikowa, lata wojny u dziadków Martynków na Skosie w Jasieniu.

Mój ojciec „wyrobił" zwolnienie z przymusowych prac dla rodziny Johanki. Po roku wrócili z dziećmi do Jasienia (na Skos) a w kwietniu 1943 r. urodził im się syn Józek (już w Jasieniu) .

Mój ojciec Jan Szkandera został wywieziony z rodzinnego domu w kwietniu 1942 roku razem z matką, siostrami i rodziną brata Józefa w kierunku Oławy (Ohlau). Tam pozostali aż do końca wojny. Na gruncie u Szkanderów w tym czasie gospodarowali Tomiczkowie z Wędryni.

U bauera

Pisze się rok 1942. Cała rodzina pracuje na roli. Bauer posiadał 25 hektarów pola oraz sklep żywnościowy, który był otwarty tylko po południu. Ojciec opowiadał, że praca na polu była bardzo męcząca. Jeździł z wołami. Nocą zaś musieli pomagać uzupełniać towar w sklepie, którego bauerka była właścicielką. Dni szły za sobą bez większych zmian. Praca na roli, wokół bydła w chlewach i to bez wytchnienia. Mogło by się wydawać, że zima dla robotników była odpoczynkowym okresem. Nie była to prawda. W zimie młóciło się i mleło zboże. – Miech zbożo mioł 70 kilo i trzeba było go wynieść do sypki na górę a tam prowadziło 75 schodów. Praca ta była strasznie męcząca – wspominał ojciec.

Głód był ich codziennym towarzyszem. Na polu pracowali z Francuzami. Ci na swój francuski sposób walczyli z głodem i zaspokajali go następująco: – Do listka kapusty zawinęli ślimaka a potem to całe owinęli gazetą, którą zapalili, ślimak się tak upiekł a potem... potem go zjedli i było po głodzie. Ale bauerowie ich przeganiali – wspominała córka słowa ojca Jana, który tę historię przypominał ilekroć zbierali ślimaki w ogródku.

– Pragnę dodać – mówi córka – że w sąsiedniej wiosce na robotach przymusowych była rodzina Mrózków z Dolnej Łomnej, i ojciec mówił, że czasem się z nimi spotykali i miło było słyszeć tę naszą mowę po naszymu.

Ucieczka siostry ojca Anny

Po roku brat Józef z rodziną wrócili do domu do Jasienia. Za nimi uciekła 21-letnia siostra Anna. Bardzo tęskniła. Nie pomogły prośby ojca, by zamiaru nie realizowała. Ona była jednak zdecydowana. Oczywiście bauer zgłosił ucieczkę Anny Szkanderowej na gestapo. Gestapowcy zaraz w domu w Jasieniu zrobili, co należało. Obrócili u Szkanderów wszystko do góry nogami - w domu, w stodole i w chlewie. Anna ukrywała się w lesie w trudno dostępnym miejscu w „Dziurawym". Nic jej to nie pomogło, gestapo ją znalazło i wróciło bauerowi. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, stwierdził, że zamknęli ją w piwnicy. Po cichu nocą postanowił ją odwiedzić i wziął z sobą trochę jedzenia (chleba). Nie poznał jej. Była nieludzko zbita. Rozpłakał się nad nią, nad sobą, nad ich strasznym losem.

Koniec wojny

Opole było twierdzą nie do zdobycia, ciągnęły się tam pierścienie betonowych schronów, ale Rosjanom udało się w styczniu 1945 roku Opole zdobyć. Ojciec z siostrą uciekali w kierunku rzeki Odry. Mosty były zburzone, często brodzili przez wodę a w wodzie płynęły ciała żołnierzy obu armii oraz cywilów, wydawało się, że nawet woda jest czerwona. Byli świadkami jak zbombardowano most, który był pełny uciekinierów. Po strasznych dniach głodu, zimy i strachu wrócili w rodzinne strony do Jasienia.

– Nadal ojciec mój gospodarował na roli, kochał ten zakątek śląskiej ziemi tu pod Kozubową. Był człowiekiem bardzo prostym, ale zawsze przypominał mi, kiedy nie chciałam jeść, że nie znam głodu i że wtedy nawet kawałek suchego chleba jest na wagę złota – mówi córka.

Rodzina Bocków (Walków) nr 156

Józef Bocek
**1894 - ✝1977*

Anna Bockowa
(z Bieleszów)
**1901 - ✝1982*

Anna Bockowa
**1927 - ✝1992*

Maria Bockowa
**1928 - ✝2009*

Zuzanna Bockowa
**1926 - ✝2011*

Ewa Bockowa
**1929 - ✝?*

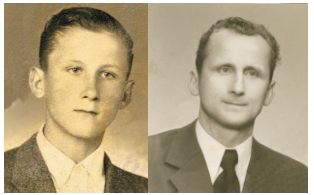

Józef Bocek
**1932 - ✝2011*

Karol Bocek
**1940*

*Józef Bocek *1894, Anna Bockowa *1901, Zuzanna Bockowa *1926, Józef Bocek *1932, Karol Bocek *1940*
Wywiezieni 23.4.1942 na majątek ziemski w Piekarach (Beckern) w okolicach Oławy (Ohlau), którego właścicielem był Johann Ernst Graff Saurma-Jeltsch a zarządcą Hans Teuer.

Wrócili w 1945 roku.

*Anna Bockowa *1927*
została w Bukowcu i opiekowała się babcią.

*Maria Bockowa *1928*
pracowała na Nowinie u budowniczego Zwyrtka.

*Ewa Bockowa *1929 - ?*

Wywiezieni zostali moji dziadkowie wraz z dwójką dzieci - najstarsza Zuzanna, oraz mój ojciec Józef. Później dołączył do nich także wujek Karol, który został „w domu" i bardzo tęsknił. Nie wiadomo, jak dostał się do Piekar. Czy go kto przywiózł, albo pojechała po niego babcia. Wtedy dwuletni Karol nie miał się źle, ponieważ był blondynem i Niemcy go lubili.

Dziadek pracował na roli z końmi a ojciec mu pomagał. Tata opowiadał, że często wozili rzepę na wozach do Brzegu. Praca na polu była bardzo ciężka. Zimą w stodołach pełnych myszy młócili i mleli zboże. Mieszkali i nocowali w oborach wraz z bydłem. Musieli nosić oznaczenie "P", jeść oddzielnie, ponadto byli strzeżeni przez policję wojskową. Kto zapomniał oznaki "P", był przez gestapo wzięty do niewoli.

Kiedy zbliżał się front do Piekar, bauer wysłał dziadków z końmi za Odrę, myśląc, że front będzie się cofał na wschód i za 2-3 dni wrócą na posiadłość. Ale front posuwał się na zachód i dziadkowie musieli przed nim uciekać. Doszli aż do Nachoda, a stamtąd całą zimę wracali do Jasienia. Droga do domu była trudna . Rosyjscy żołnierze omało nie zastrzelili dziadka, bo nie chciał im oddać koni. Jednak wrócili wszyscy wiosną 1945 roku.

Powrót po 64 latach

W 2009 roku próbowałem z ojcem odnaleźć miejsce jego pobytu podczas wojny. Tata pamiętał, że miejscowość nazywała się Beckern i że wozili rzepę do miejscowości Brig. Pojechaliśmy więc do wioski Piekary, niedaleko Jelcza. To miejsce jednak ojcu nie wydało się znajome, wspominał cmentarz, tory, ... Pytaliśmy więc mieszkańców wioski, czy co nie pamiętają, ale wszyscy obywatele przeprowadzili się do Piekar dopiero po wojnie. Potem jedna pani pokazała nam miejsce starego niemieckiego cmentarza i wtedy ojciec zaczął rozpoznawać i inne obiekty. Chodził po okolicy i pokazywał „tu było gnojowisko, tu kuźnia". Rozpoznał też zamek w Laskowicach, majątek właściciela folwarku, gdzie pracował podczas wojny.

W domu znalazłem też dokumenty dziadka z tamtego okresu.

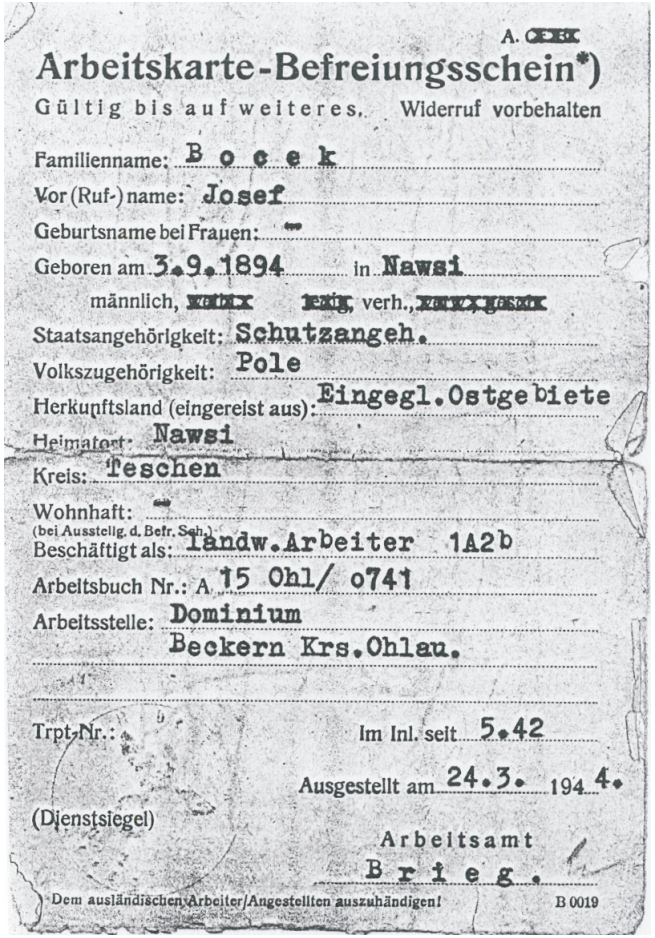

A. [redacted]

Arbeitskarte-Befreiungsschein*)

Gültig bis auf weiteres, Widerruf vorbehalten

Familienname: Bocek

Vor (Ruf-) name: Josef

Geburtsname bei Frauen: –

Geboren am 3.9.1894 in Nawsi

männlich, [redacted] ledig, verh., [redacted]

Staatsangehörigkeit: Schutzangeh.

Volkszugehörigkeit: Pole

Herkunftsland (eingereist aus): Eingegl.Ostgebiete

Heimatort: Nawsi

Kreis: Teschen

Wohnhaft: –

(bei Ausstellg. d. Befr. Sch.)

Beschäftigt als: landw.Arbeiter 1A2b

Arbeitsbuch Nr.: A 15 Ohl/ 0741

Arbeitsstelle: Dominium
Beckern Krs.Ohlau.

Trpt.-Nr.: Im Inl. seit 5.42

Ausgestellt am 24.3. 1944

(Dienstsiegel)

Arbeitsamt
Brieg.

Dem ausländischen Arbeiter/Angestellten auszuhändigen! B 0019

Arbeitskarte für Arbeitskräfte

aus

und Bescheinigung über ei[illegible]gezahlte Lohnersparnisse

linker Zeigefinger

Raum für Fingerabdruck

rechter Zeigefinger

B/0544

Karta pracy Józefa Bocka

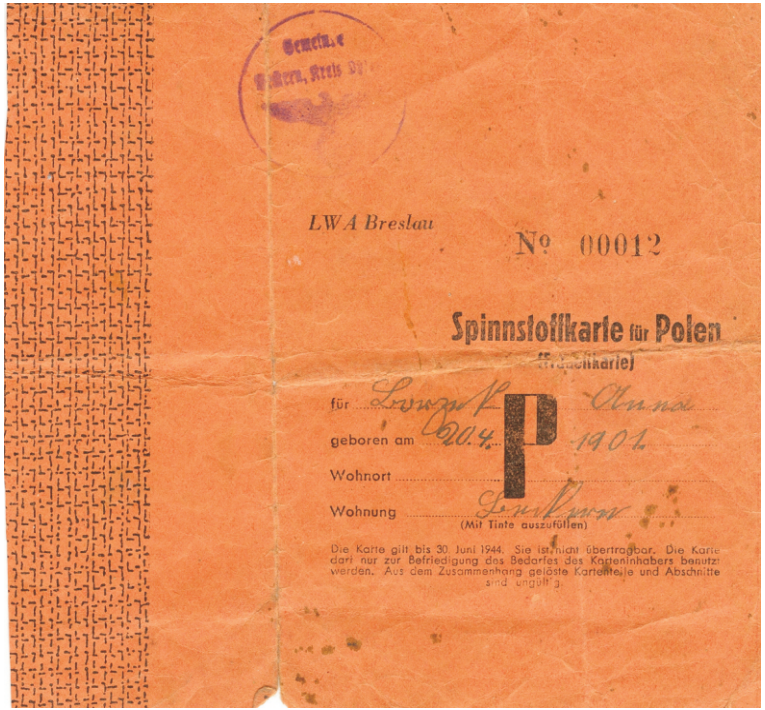

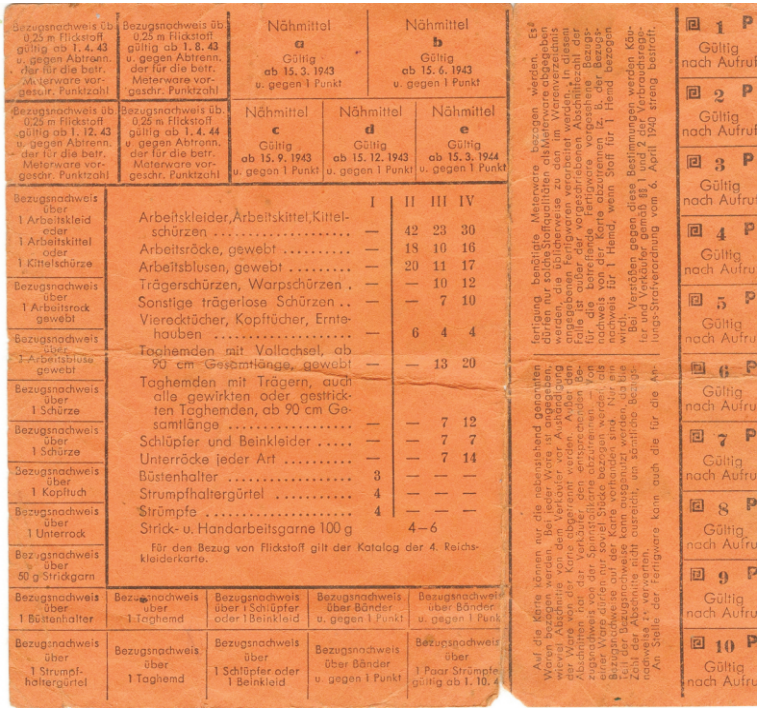

Spinnstoffkarte für Polen (Frauenkarte) karta zaopatrzenia na wyroby przędzalnicze i tekstylne (odzieżowa) dla Polaków – wersja dla kobiet

ARCHIWUM PAŃSTWOWE
WE WROCŁAWIU
50-215 Wrocław ul.Pomorska 2
tel.328-81-01 fax 328-80-45 e-mail wroclaw@ap.wroc.pl

Pan
Józef Bocek
Nawsi 643
Frydek- Mistek
Czechy

Nasz znak:	Data:
OII-843-182/06	28.08.2006.

Archiwum Państwowe we Wrocławiu uprzejmie informuje, że nie odnaleziono dokumentów dotyczących pobytu i pracy przymusowej Pana Józefa Bocka (Bocek) w majątku ziemskim w Piekarach *Beckern*, pow. oławski *Kreis Ohlau*, którego zarządcą był Hans Teuer w latach 1942- 1944.

Jednocześnie na podstawie publikowanej książki adresowej śląskich majątków ziemskich *Schlesisches Güter Adressbuch*, wyd. 1937 r., s. 202, nr 1373, Archiwum informuje, że w Piekarach *Beckern* istniał majątek ziemski, którego właścicielem był : *Besitzer: Johann Ernst Graff Saurma-Jeltsch,* a zarządcą: *Inspector: Teuer.*

DYREKTOR

Szukaliśmy z ojcem jakiejś wzmianki o jego pobycie „na robotach", ale żadnych dokumentów nie odnaleziono.

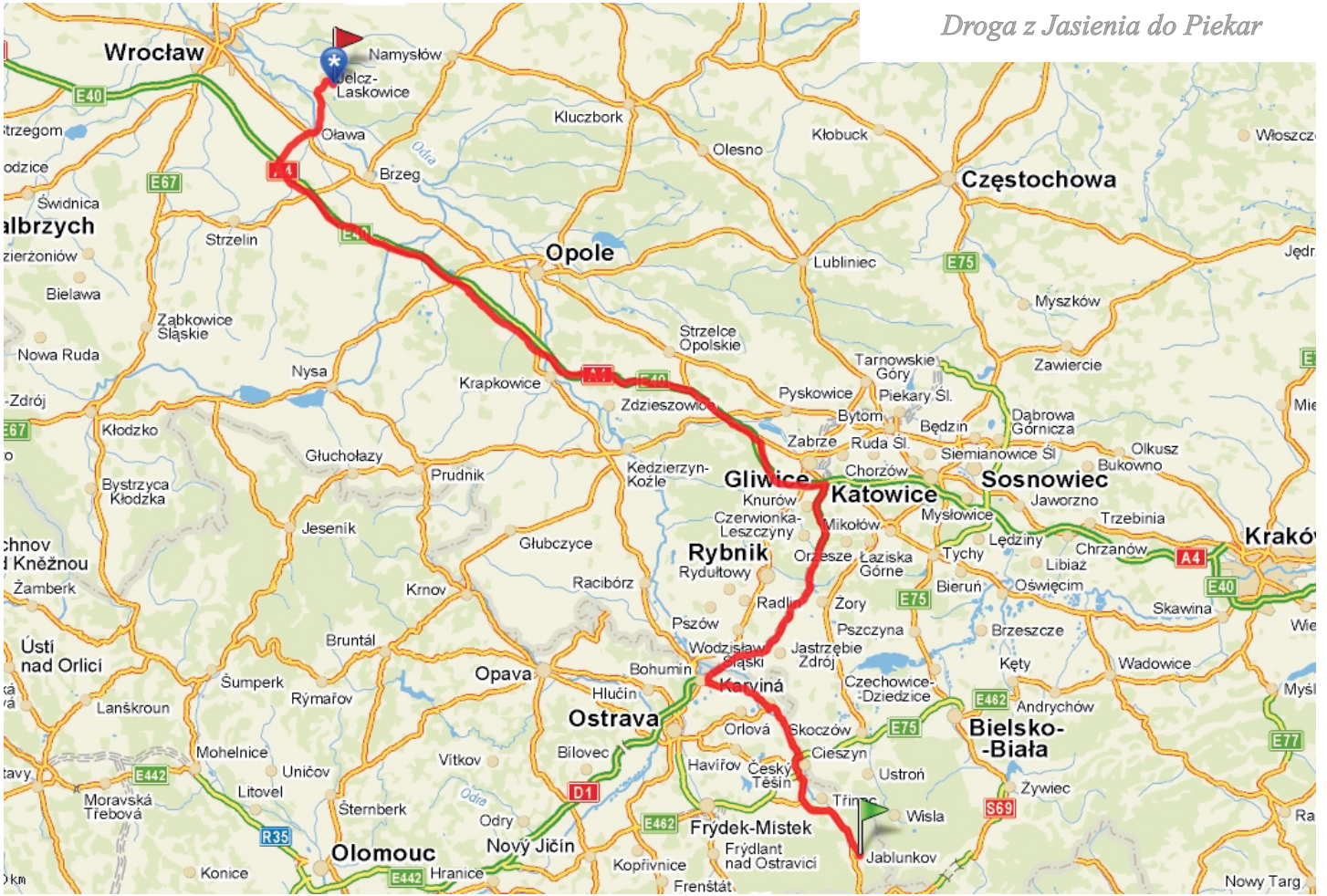
Wrocław
Namysłów
Jelcz-Laskowice
Oława
Brzeg
Kluczbork
Olesno
Kłobuck
Częstochowa
Świdnica
Strzelin
Opole
Lubliniec
Myszków
Bielawa
Ząbkowice Śląskie
Nowa Ruda
Nysa
Krapkowice
Strzelce Opolskie
Zawiercie
Pyskowice
Tarnowskie Góry
Piekary Śl.
Bytom
Dąbrowa Górnicza
Będzin
Zabrze
Ruda Śl.
Siemianowice Śl.
Olkusz
Bukowno
Kłodzko
Głuchołazy
Prudnik
Kędzierzyn-Koźle
Gliwice
Chorzów
Katowice
Sosnowiec
Jaworzno
Trzebinia
Bystrzyca Kłodzka
Jeseník
Głubczyce
Knurów
Czerwionka-Leszczyny
Mikołów
Mysłowice
Rybnik
Rydułtowy
Orzesze
Łaziska Górne
Tychy
Lędziny
Chrzanów
Libiąż
Racibórz
Krnov
Radlin
Bieruń
Oświęcim
Skawina
Žamberk
Ústí nad Orlicí
Bruntál
Pszów
Pszczyna
Brzeszcze
Wodzisław Śląski
Jastrzębie Zdrój
Kęty
Wadowice
Šumperk
Opava
Bohumín
Karviná
Czechowice-Dziedzice
Lanškroun
Rýmařov
Hlučín
Ostrava
Orlová
Skoczów
Andrychów
Bielsko-Biała
Mohelnice
Vítkov
Bílovec
Havířov
Český Těšín
Cieszyn
Ustroń
Moravská Třebová
Uničov
Litovel
Šternberk
Odry
Třinec
Wisła
Żywiec
Olomouc
Nový Jičín
Frýdek-Místek
Frýdlant nad Ostravicí
Jablunkov
Konice
Hranice
Kopřivnice
Frenštát
Nowy Targ
E40
E67
E75
A4
E462
E77
S69
D1
R35
E442

P I E K A R Y

Wieś wzmiankowana w XIV wieku jako przyległość Jelcza, z którym była ściśle związana, gdyż usytuowany na jej terenie folwark stanowił główny majątek jelczańskich dóbr. Nazwa pochodzi od osadzonych tu piekarzy, którzy piekli chleb na potrzeby zamku w Jelczu. W Piekarach osadzono pierwotnie 9 piekarzy, 7 kucharzy, 3 browarników. Warte obejrzenia są we wsi:aleja ponad stuletnich lip drobnolistnych rosnących przy głównej drodze oraz wieża alarmowa z 1890 roku..

Jelcz - Laskowice - Pałac Jeltsch-Laskowitz

Zamek z 1558 roku gruntownie przebudowany w 1779 roku na pałac dla Johanna Franza von Saurma-Jeltscha. W 2. poł. XIX w. dokonano kolejnej przebudowy. Prace, o których informują kartusze (nad wejściem północnym z herbem rodu von Saurma-Jeltschów oraz na szczycie elewacji frontowej), trwały w roku 1869 i 1886.

Do 1813 roku zamek stanowił rodową siedzibę. Po 1945 roku pałac wykorzystywała rolnicza placówka Państwowej Akademii Nauk - Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, która zniszczyła zabytkowy wygląd obiektu przebudową wnętrz, chociaż jednocześnie doprowadziła do świetności okoliczny park.

Starzik sie golił brzytwą bez zaglądania do „zdrzadła". Na moje pytani, jak to tak poradzi odpowiadoł: „Jo sie tak nauczył w Reichu, tam my musieli każdy dziyń przed robotóm sie ogolić a zdrzadła żech ni mioł".

Jako mały chłapiec pytam: „Starziku, czymu jycie łój, dyć to je złe ?" A starzik na to: „Ja, synku, gdyby nie łój, co żech jod na robotach, ciężko bych tam przeżył".

W rodzinie też wspominano przygodę wujka Karola. Karol, wtedy trzyletni chłopiec, był w Reichu z rodzicami, siostrą i starszym bratem. Wszyscy byli zajęci pracą i nie zauważyli, że się zgubił. Po dłuższym poszukiwaniu znaleźli go na drodze między rozległymi polami. Kiedy zapytali: „*Co ty tu robisz ?"* Odpowiedział: *„Idę do domu".*

Rodzina Kantorów (od Kary) nr 155

Kantor Adam
**1908 - ✝2000*

Kantorowa Anna
**1915 - ✝1984*

Kantorowa Ewa
**1938*

Kantorowa Anna
**1933*

Kantorowa Maria
**1944 w Niemczech - ✝?*

Kantor Paweł
**1936 - ✝2006*

- nie ma go na zdjęciu

Kantor Adam wywieziony w październiku 1941. 1 rok pracował w fabryce Kymikzhult.

Pozostała rodzina była wywieziona w 1942 roku do polenlagru we Frysztacie.

Po roku zostali przesiedleni na posiadłość rolną Neuhammer (Świętoszów), która należała do Falkenau, gdzie zostali do końca wojny.

Dane o rodzinie oraz zdjęcia udostępniła Ewa Raszka z domu Kantor

Kantor Adam

Kantor Adam
w Niemczech

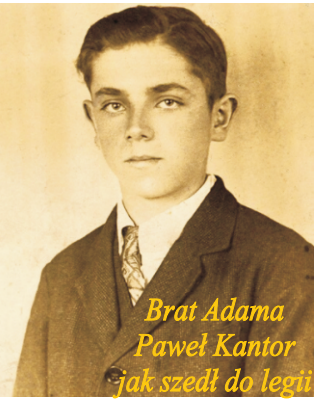
Brat Adama
Paweł Kantor
jak szedł do legii

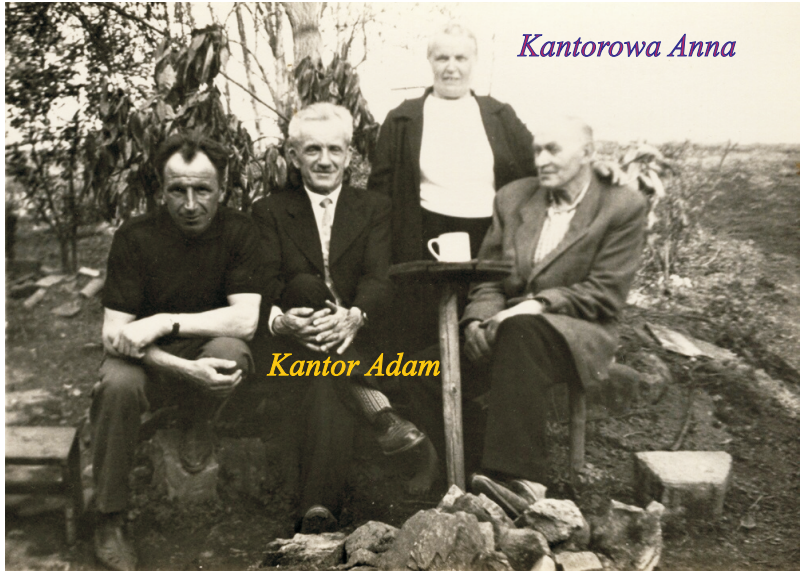
Kantorowa Anna

Kantor Adam

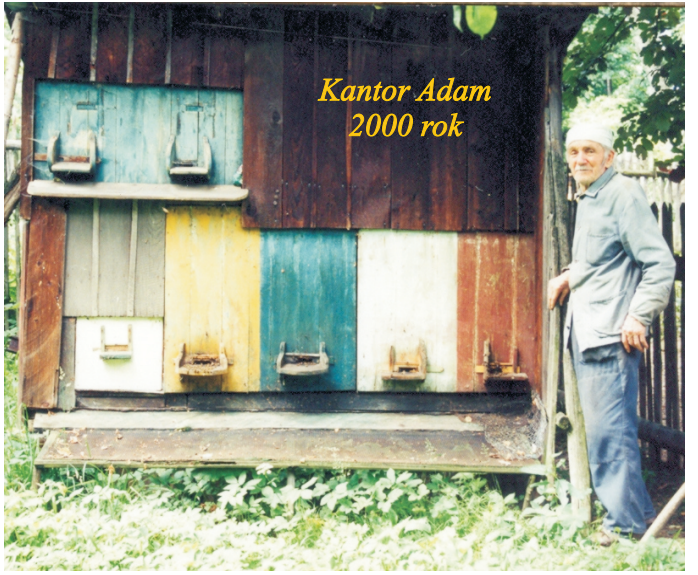
Kantor Adam
2000 rok

Wywiezieni byli:Kantor Adam, jego żona Anna, ich dzieci 10-letnia Anna, 6-letni Paweł i 4-letnia Ewa.

Kantor Adam był wywieziony już jesienią 1941 roku. Powodem było nasze pozdrowienie. Pracował wówczas na „Pile" i zawsze kiedy przychodził do pracy, pozdrawiał „Dzień dobry" – tak jak go mama nauczyła. Przez swego majstra (który był przedtem Polakiem) był napomniany. Miało się pozdrowić „Hei Hitler". Kiedy na drugi dzień przyszedł Adam do pracy, pozdrowił znów swoje „Dzień dobry". Za dwa dni był wywieziony na prace w fabryce Kymikzhult, powiat Opole. Tam rozchorował się na serce. Po badaniach lekarskich już nie mógł pracować w fabryce (były tam gazy trujące), do domu jednak nie był zwolniony. Za radą majstra wrócił do domu bez potrzebnego pozwolenia. W domu żył w ciągłej obawie przed gestapem.

23 kwietnia 1942 roku wraz z całą rodziną był wywieziony do lagru we Frysztacie. Panowały tam ciężkie warunki. Po roku wraz z żoną był przełożony (przesiedlony) na posiadłość rolną Neuhammer (Świętoszów), gdzie pracował w chlewie. Jego zadaniem była troska o wieprze. W pracy pomagała mu jego żona i najstarsza córka. We dworze pracowali do 15.3.1945 roku.

Wracali piechotą z małym wózkiem, w którym wieźli najmniejsze dzieci – ich roczna córeczka Maria urodziła się w Niemczech. Do domu w Jasieniu wrócili początkiem maja. Tak jak wszystkie wysiedlone rodziny zastali tylko gołe ściany, nie mieli co do ust włożyć. I znowu było ciężko, ale w domu, między swoimi, tu pod chłopską górą Kozubową, to zawsze lżej.

Jeszcze parę notatek zapisanych ręką wtedy już sędziwego pana Kantora.

„To dziś se nad tym myślę, że ci którzy se już trzi razy przewlykli kaboty cygańską zdradą, oni sie mają zawsze dobrze. A kto chce wytrzymać w ojcowskiej wierze i narodowości, musi tylko na Boga spolegać, bo gdyby nie Boska Opatrzność, nie było by to można przeżyć. Tylko Panu Bogu dziękuję".

Wspomnienia opracowała Zofia Łabajowa
przy współpracy z Ewą Raszkową z domu Kantor

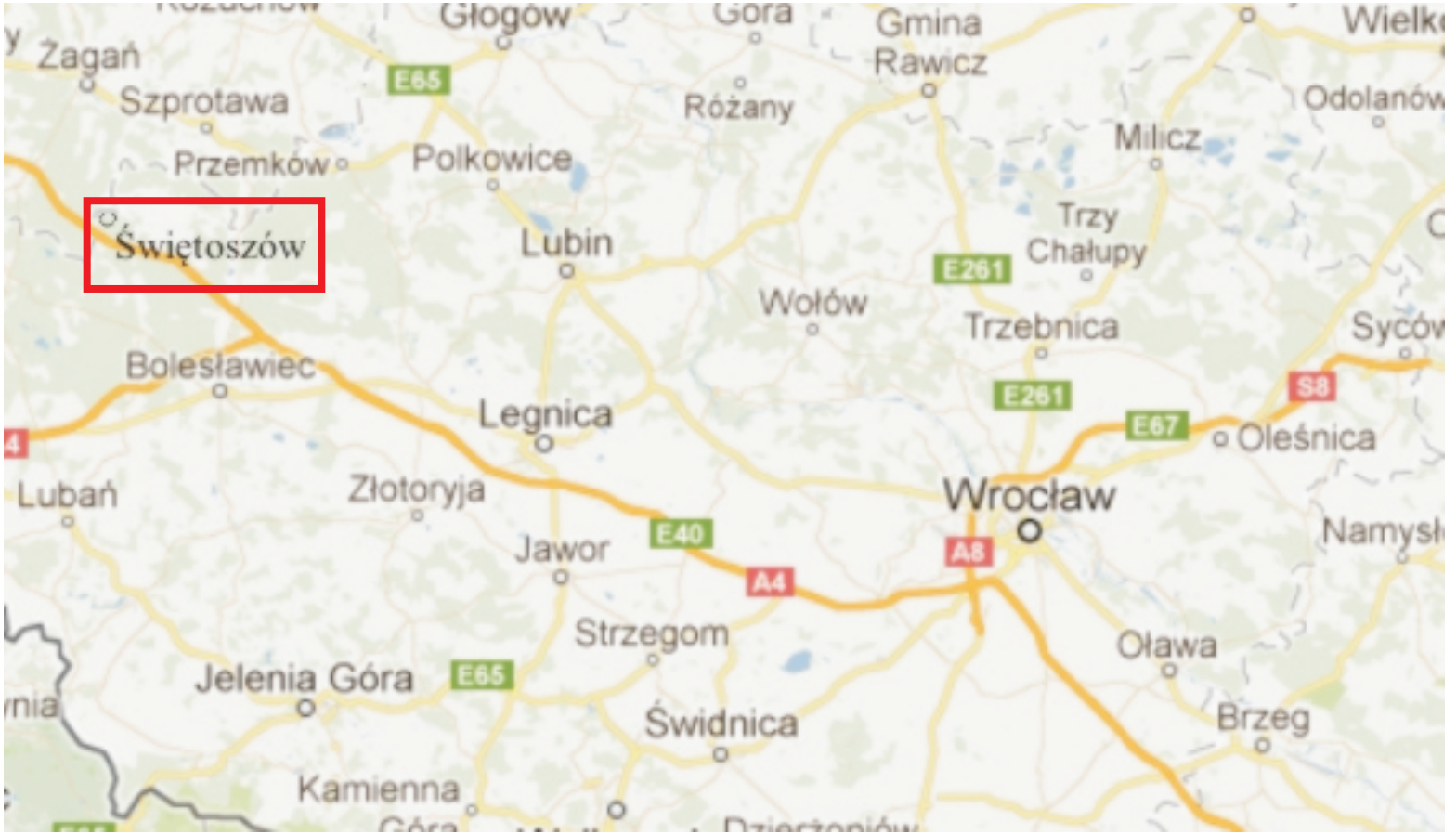
Głogów
Góra
Gmina Rawicz
Wielk
Żagań
Szprotawa
E65
Różany
Odolanów
Milicz
Przemków
Polkowice
Świętoszów
Lubin
Trzy Chałupy
E261
Wołów
Trzebnica
Syców
Bolesławiec
Legnica
E261
S8
E67
Oleśnica
Lubań
Złotoryja
Wrocław
Namysł
Jawor
E40
A8
A4
Strzegom
Oława
Jelenia Góra
E65
Świdnica
Brzeg
Kamienna

Rodzina Kawuloków (z Chałup) nr 153

Kawulok Jerzy
** 1878 - ✝1963*

Kawulokowa Maria
**1890 - ✝1948*

Kawulok Jan
**1912 - ✝ 1940*

Kawulokowa Anna
**1921*

Kawulok Jerzy
**1923 - ✝ 1944*

*<u>Kawulok Jerzy *1878 , Kawulokowa Maria *1890 ,córka Kawulokowa Anna *1921</u>*
Wywiezieni 23.4.1942 do gospodarstwa rolnego właściciela Ernsta Breslera,Weinberg Kreis Ohlau (Oława).
.
Styczeń, luty 1945 uciekali przed frontem do Czech. Marzec 1945 gospodarstwo rolne Jaroslav Horký, Bílý Podol. W połowie czerwca wrócili do domu.

*<u>Syn Kawulok Jerzy*1923</u>*
W 1940 roku wywieziony na prace we dworze Zackerau, pod koniec 1942 roku przewieziony na prace do kopalni Dortmund, tam zmarł przy bombardowaniu.

*<u>Syn Kawulok Jan *1912</u>*
Jako były posterunkowy Policji Państwowej w Brennej wywieziony przez NKWD do obozu jeńców w Ostaszkowie, 6-7 kwietnia 1940 roku przewieziony do Tweru , wtedy Kalinina, gdzie był rozstrzelany i odwieziony do zbiorowej mogiły w Miednoje.

Byli wywiezieni na prace w gospodarstwie Ernesta Breslera, który był także właścicielem gospody. Była to miejscowość Weinberg – powiat Oława.

Kawulok Jerzy – mój starek miał wtedy już 64 lat. Rozchorował się na zapalenie płuc, leczył się w szpitalu i po trzech miesiącach został zwolniony. Do końca wojny mieszkał u swojej najstarszej córki Zuzanny w Milikowie.

Najmłodszy brat mamy Jerzy był wywieziony rok wcześniej na prace we dworze „Zackerau". Miał 17 lat. Pod koniec 1942 roku był przewieziony na prace do kopalni w mieście Dortmund, gdzie prawdopodobnie zginął podczas bombardowania lub zmarł już wcześniej z wycieńczenia, albo choroby pod koniec 1944 roku. W kopalni były bardzo ciężkie, nieludzkie warunki. Rozchorował się tam na serce. Pozostało tylko parę kartek korespondencyjnych, które nawet po tylu latach nie można przeczytać bez łzy w oku i wzruszenia.

Najstarszy brat mamy Jan był jedną z ofiar zbrodni Katyńskiej. Był policjantem w Brennej, skąd został wywieziony na Wschód. Na początku kwietnia 1940 roku został rozstrzelany i przewieziony do zbiorowej mogiły w Miednoje. Miał zaledwie 28 lat i życie przed sobą.

Wywiezienia uniknął tylko brat mamy Paweł. W chwili wysiedleń był już w drodze do pracy. Pracował w Trzyńcu w hucie (we werku).

Kawulokowa Maria – moja starka i mama Anna (wtenczas 21-letnia) pracowały przez cały czas wojny na gospodarstwie w Niemczech. Praca była bardzo ciężka. Przez dzień robota w polu, w chlewie wydoić krowy a wieczorem obsługiwać gości, którzy tam przychodzili na kawę. Nawet niedziele nie były wolne, przychodzili goście.

Wypędzeni z domu

My już wiedzieli, że nas wywiozą. Rano prziszli, jako wszyndzi, burzili okropnie – Heraus! Heraus! Uciekejcie! Wywiyźli nas do Czytelnie. Kludzili kajsi z poczóntku, do Nowsio isto. Tamstónd nas potym rozwożali cugym.

....Myśmy przijechali. Wybrała nas potym ta bauerka. To była gospoda i gospodarstwo. I tóż óna zaroz prziszła – Przewlykać sie! – Nie pytała sie, czyście głodni? – Zaroz idymy młócić do stodoły.

I my sie musieli przewlyc. A tata uż tak ledwo chodził. To uż wrzeszczała. Ale tata nie potrafił. Tak my szły, jo z mamóm, do tej stodoły młócić. To już było dość nieskoro. A uż tam nie było ani wiela co, bo myszy to zjadły, dyć była wiosna. Tam były dość ciynżki warunki, bo tam było trzeba od rana do wieczora robić, a eszcze gospoda. Ani niedziela nie była wolno, bo trza było gości obsługiwać. A najbardziyj to było, od pół maja do pół czerwca, chodzili tam goście na szparagi. To były taki, jak pietruszka. Każdy wieczór chodzili na to. Tych gości było pełno, potym było pełno mycio, gości rozwożać trza było. Potym na kawym chodzili, w niedziele dycki na kawym. To zaś pełno garców, mycio. Tego wolna żodnego nie było.

Jedzyni też było przebiydne. Na śniodani chlyb posmarowany syropem z rzepy cukrowej (który my gotowały zimą) a do tego czorno kawa. Rano i wieczór to było. Na obiod ziymioki w szupie sie warziły a ku tymu nazywali to „sosym", ale to była jyny mónka przipražóno a zaloto wodóm. Dziyń w dzyń to samo, tak to isto było wszyndzi we dworach. W niedzielym było kónszczek miynsa z takóm jakómsi knedlóm.

Koniec wojny - powrót w rodzinne strony

– W styczniu 1945 roku prziszeł do bauerki w gości jeji brat, dość wysoki łoficyr i mówi, że do dwóch miesięcy sie wojna skóńczy, bo majóm jakómsi nowóm bróń – wspomina pani Anna Kaletowa – *a za jakichsi pore tydni my zjiścili, że sie cosi robi, bo wszyscy dookoła pakowali i kierowali sie w strone Wrocławia. Co sie dzieje, dziwiła sie naszo bauerka. Jejo siostra mi mówi, Anna źle sie dzieje, bo NASI sie cofióm. O Boże, a dlo nas to taka dobra wiadomość, dyć my jyny na nióm czakali.–*

Na początku 1945 roku uciekały wraz z właścicielami przed frontem.– *Dłógo bauerka rozmyślała, nie chciało sie ji zostawić tak wszystkiego, bo gospodarstwo było wielki i dobrze zagospodarowane. Nocą Anglicy oświetlali te okolice,*

bo se isto myśleli, że to gospodarstwo to jakisi składy. My siedzieli w lesie. .... Mówili tymu krysbały. Były też taki kule świetlne, jak jedna wybuchła... było to straszne... Jadymy? Nie jadymy? Rusi byli już za Odróm. Ale w końcu napakowała bauerka na wóz tylko to najpotrzebniejsze i uciekali my w kierunku Czech – Hronov, Náchod... Po ceście do dómu my napotykali wiele statków i pięknych folwarków. Tam były krowy puszczóne, gdzie indziej było ciasto zarobione na kołocze. Było widać, że bauerzi uciekali w pośpiechu.

Według Zofii Łabajowej

W Czechach przez trzy i pół miesiąca pracowały na gospodarstwie Jaroslava Horkého w miejscowości Bílý Podol, okres Čáslav. Droga do domu była bardzo niebezpieczna. Wróciły w połowie czerwca. Wcześniej się nie dało – mosty i tory były uszkodzone. Dojechać było można tylko do Trzyńca. Było to pod wieczór, dlatego chciały gdzieś przenocować a rano mama chciała iść piechotą do domu po pomoc. Miały ciężkie bagaże. Gospodarze, u których pracowały, z wdzięczności dali im chleba, trochę mąki i cukru. Wtem spotkały sąsiadkę z Boconowic Marię Bieleszową, która przyjechała na kole do Trzyńca popatrzeć na rozkład jazdy. Kiedy ich zobaczyła, zaraz jechała z powrotem do domu i posłała swego brata Janka z końmi i wozem po nich. Jeszcze tego samego dnia wieczorem były w domu. Były bardzo wdzięczne za okazaną im natychmiastową pomoc i ochotne serce.

Dom rodzinny

W domu było trzeba zaczynać wszystko od początku, nie pozostał nawet kołek w płocie. Na swoim starka przeżyła już tylko niespełna trzy lata. Jej organizm był nadwyrężony ciężką pracą i tęsknotą za ukochanymi synami. Dla naszej rodziny, jak i dla tysiący innych rodzin wojna zakończyła się tragicznie. Pomimo to mama wspomina, że wśród Niemców byli ludzie (nawet z wyższych sfer), którzy zawsze przyszli ich przywitać i podać rękę, widzieli krzywdę jaką wyrządza Hitler. Mama zawsze mówi, że na świecie są ludzie i ludziska. Kiedy ich wysłano na roboty, to pani Bieleszowa z córkami z płaczem przyszły pożegnać się z nimi. Byli też i tacy, którzy się bardzo cieszyli z tego, że Polaków wywożą.

– Oby już nigdy coś tak strasznego jak wojna nie musiały przeżywać nasze dzieci i wnuki. Dziękujemy Panu Bogu za to, że żyjemy w czasach pokoju– dodała pani Anna.

Widokówka z Oławy

Kawulokowa Anna
**11.5.1921*

dziś Kaletowa

Kartki, które przesyłał Jerzy z pracy w kopalni matce do Reichu

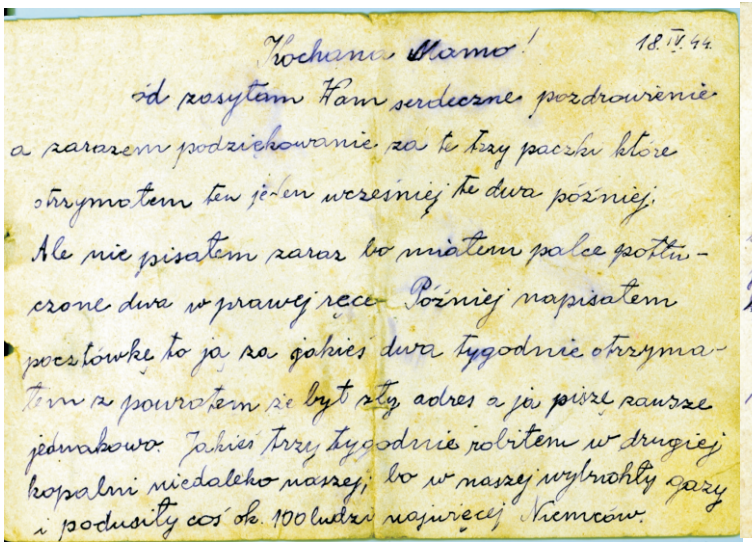

Kochana Mamo! 18.IV.44.

Przód zasyłam Wam serdeczne pozdrowienie a zarazem podziękowanie za te trzy paczki które otrzymałem ten jeden wcześniej te dwa później. Ale nie pisałem zaraz bo miałem palce potłuczone dwa w prawej ręce. Później napisałem pocztówkę to ją za jakieś dwa tygodnie otrzymałem z powrotem że był zły adres a ja piszę zawsze jednakowo. Jakieś trzy tygodnie robiłem w drugiej kopalni niedaleko naszej, bo w naszej wybuchły gazy i podusiły coś ok. 100 ludzi najwięcej Niemców.

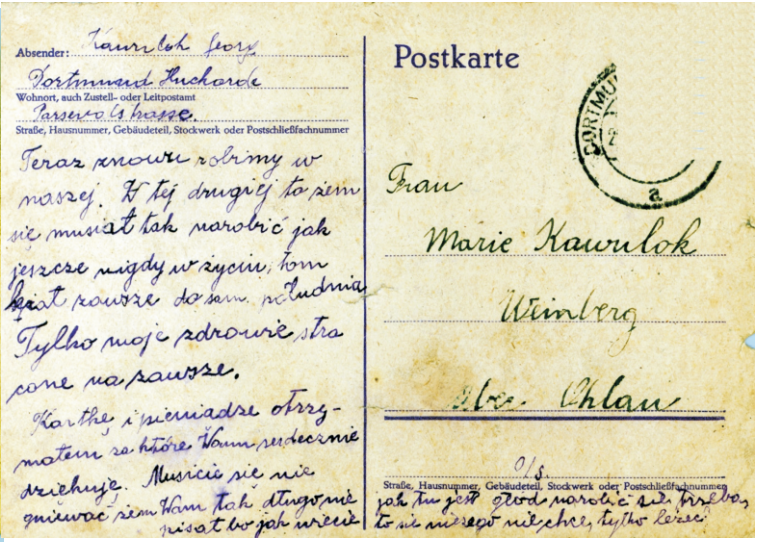

Absender: Kawulok Georg
Dortmund Huckarde
Wohnort, auch Zustell- oder Leitpostamt
Parsevalstrasse.
Straße, Hausnummer, Gebäudeteil, Stockwerk oder Postschließfachnummer

Teraz znowu robimy w naszej. W tej drugiej to żem się musiał tak narobić jak jeszcze nigdy w życiu, tom leżał zawsze do sam. południa. Tylko moje zdrowie stracone na zawsze.

Kartkę i pieniądze otrzymałem za które Wam serdecznie dziękuję. Musicie się nie gniewać żem Wam tak długo nie pisał bo jak wiecie

Postkarte

Frau
Marie Kawulok
Weinberg
Abs. Ohlau
o/s.
Straße, Hausnummer, Gebäudeteil, Stockwerk oder Postschließfachnummer

jak tu jest głód narobić się trzeba, to sie niczego nie chce, tylko leżeć.

Kochana mamo !

Przód zasyłam Wam serdeczne pozdrowienie a zarazem podziękowanie za te trzy paczki, które otrzymałem. Ten jeden wcześniej te dwa później. Ale nie pisałem zaraz, bo miałem palce potłuczone dwa w prawej ręce. Później napisałem pocztówkę to ją za jakieś dwa tygodnie otrzymałem z powrotem że był zły adres a ja pisze zawsze jednakowo. Jakieś trzy tygodnie robiłem w drugiej kopalni niedaleko naszej, bo w naszej wybuchły gazy i podusiły coś ok. 100 ludzi najwięcej Niemców. Teraz znowu robimy w naszej. W tej drugiej to żem sie musiał tak narobić jak jeszcze nigdy w życiu tom leżał zawsze do samego południa.Tylko moje zdrowie stracone na zawsze. Kartkę i pieniądze otrzymałem za które Wam serdecznie dziękuję. Musicie się nie gniewać żem Wam tak długo nie pisał bo jak wiecie jak tu jest głód narobić się trzeba to sie niczego nie chce, tylko leżeć.

Kartki, które przesyłał Jerzy z pracy w kopalni matce do Reichu

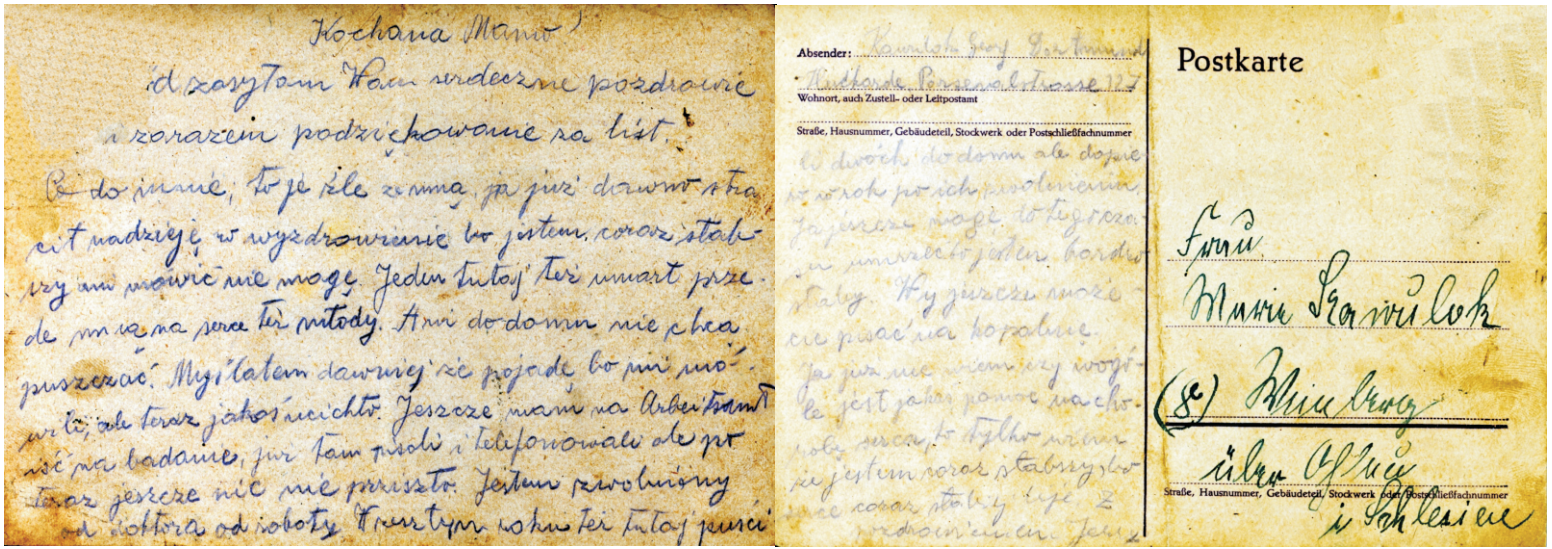

Kochana mamo !

Przód zasyłam Wam serdeczne pozdrowienie i zarazem podziękowanie za list. Co do mnie, to je źle ze mną ja już dawno straciłem nadzieję w wyzdrowienie bo jestem coraz słabszy ani mówić nie mogę. Jeden tutaj też umarł przede mną na serce też młody. Ani do domu nie chcą puszczać. Myślałem dawniej, że pojadę bo mi mówili, ale teraz jakoś ucichło. Jeszcze mam na Arbeitsamt iść na badanie, już tam pisali i telefonowali ale po teraz jeszcze nic nie przyszło. Jestem zwolniony od doktora od soboty. W zeszłym roku też tutaj puścili dwóch do domu ale dopiero w rok po ich zwolnieniu.

Ja jeszcze mogę do tego czasu umrzeć bo jestem bardzo słaby. Wy jeszcze możecie pisać na kopalnie. Ja już nie wiem czy wogóle jest jakaś pomoc na choroby serca, to tylko wiem że jestem coraz słabszy bo serce coraz słabiej bije.

Z pozdrowieniem. Jerzy

Kartki, które przesyłał Jerzy z pracy w kopalni matce do Reichu

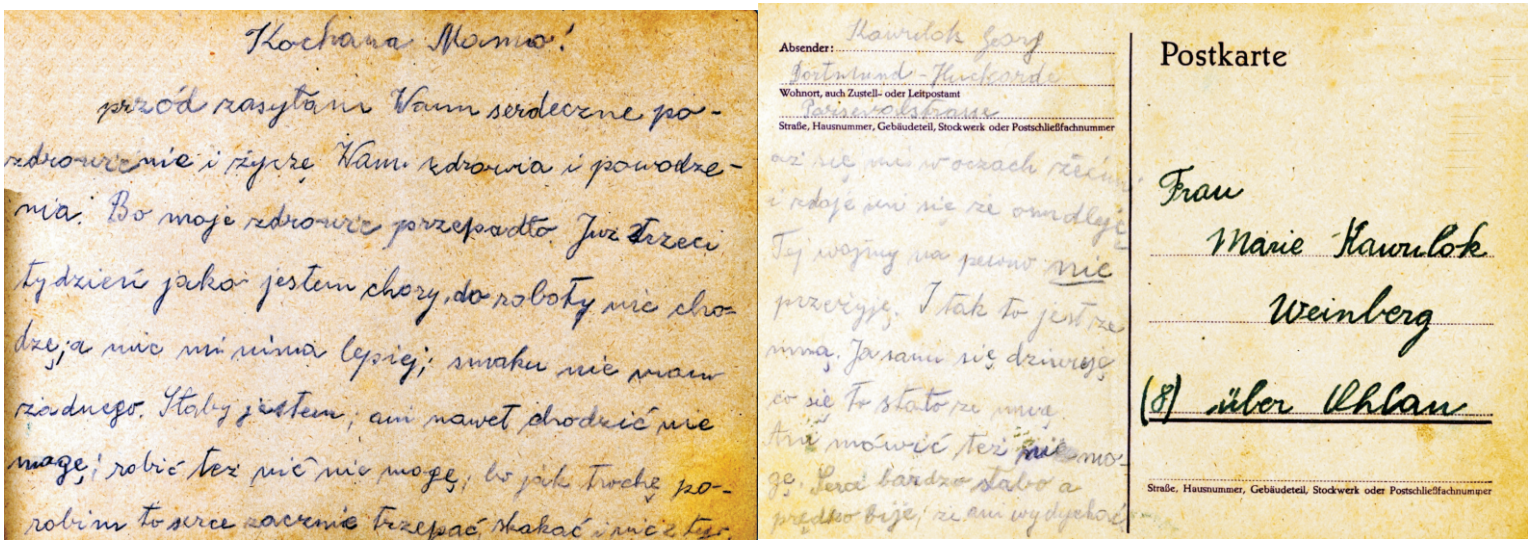
Kochana Mamo!
przód zasyłam Wam serdeczne po-
zdrowienie i życzę Wam zdrowia i powodze-
nia. Bo moje zdrowie przepadło. Już trzeci
tydzień jako jestem chory, do roboty nie cho-
dzę, a nic mi nima lepiej; smaku nie mam
żadnego. Słaby jestem, ani nawet chodzić nie
mogę, robić też nic nie mogę, bo jak troche po-
robim to serce zacznie trzepać skakać i nic z tego
Absender: Kawulok Georg
Dortmund-Hackende
Wohnort, auch Zustell- oder Leitpostamt
Straße, Hausnummer, Gebäudeteil, Stockwerk oder Postschließfachnummer
Postkarte
Frau
Marie Kawulok
Weinberg
über Ohlau
Straße, Hausnummer, Gebäudeteil, Stockwerk oder Postschließfachnummer

Kochana mamo !

Przód zasyłam Wam serdeczne pozdrowienie i życzę Wam zdrowia i powodzenia. Bo moje zdrowie przepadło. Już trzeci tydzień jako jestem chory, do roboty nie chodzę nic mi ni ma lepiej, smaku nie mam żadnego. Słaby jestem, ani nawet chodzić nie mogę, robić też nic nie mogę, bo jak troche porobim to serce zacznie trzepać skakać i nic z tego aż sie mi w oczach zaćmi i zdaje mi się że mdleję. Tej wojny na pewno nie przeżyję. I tak to jest ze mną. Ja sam się dziwuję, co się stało ze mną. Ani mówić też nie mogę. Serce bardzo słabo i prędko bije że ani wydychać.

Rodzina Kawuloków (z Chałup) nr 154

Adam Kawulok
**1896 - ✝1959*

Ewa Kawulokowa
**1894 - ✝1952*

Zuzanna Kawulokowa
**1921 - ✝1990*

Paweł Kawulok
**1923 - ✝1983*

Jan Kawulok
**1933 - ✝1996*

*<u>Adam Kawulok *1896 , Ewa Kawulokowa *1894,</u>*
*<u>Zuzanna Kawulokowa *1921</u>*
Wywiezieni na roboty przymusowe dnia 23.4.1942.
Od 25.4.1942 do 6.2.1945 pracowali na majątku Ulricha Schmidta w Kantorowicach koło Brzegu (Dom Kantersdorf Kreis Brieg).
Do Nawsia wrócili w maju 1945 roku.

*<u>Paweł Kawulok *1923</u>*
Wywieziony rok wcześniej, pracował we dworze w Zacherau.

*<u>Jan Kawulok *1933</u>*
Został u krewnych w Łomnej.

Wśród wysiedlonych była też rodzina mojego dziadka – Adama Kawuloka, który wraz z żoną Ewą i córką Zuzanną, tzn. moją mamą, pracował u „bauera" na terenach dzisiejszego Dolnego Śląska. Rodzina nie była w komplecie, bowiem syn Paweł już rok wcześniej został wywieziony na prace przymusowe, zaś najmłodszy syn Jan, wówczas dziewięcioletni, z nieznanych mi przyczyn pozostał u krewnych w Łomnej.

Co oznaczała ta niewolnicza praca, w urągających warunkach, i w dodatku bez wiadomości o swoich najbliższych, tego nie zdołamy dzisiaj pojąć.

Wspomnienia mojej mamy:

Z tego co pamiętam ze wspomnień mojej mamy, to na przykład to, że na skutek ciężkiej pracy (było to przy rozsiewaniu nawozów sztucznych) była nawet w szpitalu na operacji ramienia a bóle, które ucierpiała potem przy opatrywaniu ropiejących ran, zapamiętała na zawsze.

Dalszy epizod, który mi utkwił w pamięci, pochodzi już z okresu wyzwalania terenów przez radzieckich żołnierzy. Właściciele majątku już zdołali uciec, ale razem z moimi dziadkami była tam też rodzina Janiczków z Nawsia, zwanych Stroczokami. I właśnie w tym Stroczokowi sowiecki dowódca dopatrzył się Niemca i ze słowami „...ty German" już szykował się do egzekucji. Wtedy to przydała się znajomość rosyjskiego zdobyta przez mojego dziadka, nie jak błędnie myślałam w czasach niewoli w 1 wojnie światowej, ale podczas pracy „za chlebem" w Ameryce, gdzie był razem z Rosjanami. Dziadek w ostatniej chwili wyjaśnił nieporozumienie i tak go zdołał uratować.

Powrót do domu

Dalsze dramatyczne chwile przyszło im przeżywać w drodze powrotnej do domu. Wyruszyli zaraz w lutym na wozie zaprzężonym w woły. Podróż trwała całe trzy miesiące, gdyż natrafili na front idący na zachód i musieli czekać aż wojsko przejdzie. Zapasy żywności się skończyły i musieli prosić o nocleg, o jedzenie, w dodatku ludzi, którzy też tego sami niewiele mieli a i spoglądali nieufnie, przecież była jeszcze wojna.

Bardzo niebezpieczny moment powrotu nastał, kiedy już mogli przepławić się przez Odrę, a że mosty były zerwane, to trzeba było na centymetr dokładnie wejść na pokład promu i przedostać się na drugi brzeg. A tu wóz i woły. Ale i to bydło

czuło niebezpieczeństwo i stąpało jak było trzeba, i udało się.

Do Nawsia powrócili na początku maja i zastali pusty dom, gdzie nie było dobrego nawet zwykłego krzesła. No i jak tu żyć? Od czego zacząć?

Chcę jeszcze zaznaczyć, że dla generacji mojej mamy okres wojenny przypadł na wiek od 18 do 24 lat, a więc okres młodości, który miałby być najpiękniejszy.

Po tych wszystkich doświadczeniach mama umiała docenić czasy pokoju, w których później przyszło jej żyć i powtarzała: *„Chociaż byłaby jakakolwiek bieda, to żeby tylko wojny nie było”*. I jeszcze wspominam, że przepowiadała połączenie obu niemieckich republik, co mi wydawało się zgoła niemożliwe. I stało się – bodajże 3.10.1990 roku...

Mama zmarła 3 tygodnie później.

Rodzina Kawuloków (Spod Cesty) nr 31

Jakub Kawulok
**1884 - ✝1972*

Anna Kawulokowa (z Chwistków)
**1891 - ✝1981*

Wywiezieni 23.4.1942 do Mąkoszyc (Mangschütz) na majątek ziemski właściciela Von Landsberka.

Wrócili w maju 1945 roku.

Józef Kawulok
**1912- ✝2002*

Zuzanna Kawulokowa
**1922- ✝2007*

Jan Kawulok
**1940*

Zdjęcie sprzed I wojny światowej

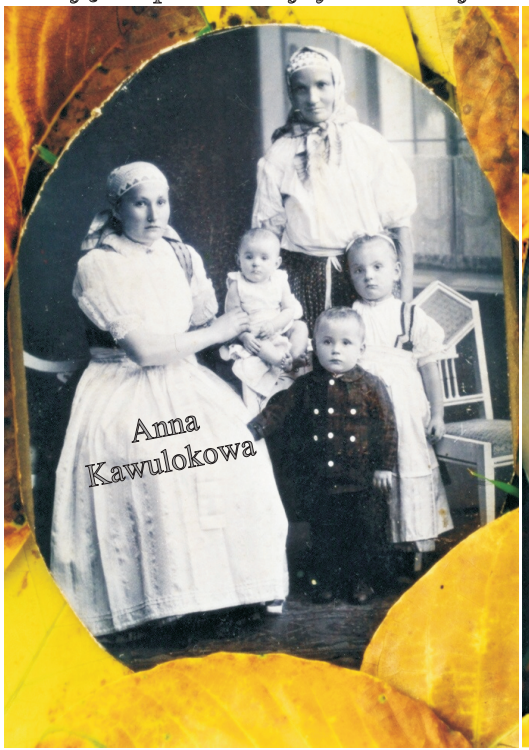

Anna Kawulokowa (żona Jakuba), jej matka Chwistkowa, ich dzieci Józef, Anna (później Janiczkowa), Zuzanna (później Heczkowa)

Jakub Kawulok

Wspomina Józef Kawulok

Pisał się rok pański 1942. Dziewiętnastego marca w tymże roku byłem już czwarty raz przedwołany, by podpisać Volkslistę. Ja jednak powiedziałem, że nie jestem Niemcem, nie podpisałem. Natychmiast mnie aresztowali, ale wieczorem byłem wypuszczony, z tym jednak, że musiałem na drugi dzień jechać do Cieszyna, przymusowo się przypatrywać jak na szubienicy ginie dwudziestu czterech Polaków. Krótko po tym wydarzeniu, 23 kwietnia o czwartej rano, krzyk i kopanie do drzwi. Właśnie dzwonił nam budzik, żeby iść do koni, dać im obrok, bo była wiosna a konie muszą być dwie godziny przed pracą nakarmione. Gestapowiec nie pozwolił. Znowu straszny krzyk: „Zehn minuten alle raus!"

Gestapowcy byli dwaj. Jeden skoczył ku kołysce, porwał leżące w niej dwuletnie dziecko za nóżki i z całej siły wyrzucił na tapczan. Synek strasznie wylękany krzyczał: „Mamo, mamo, broń mnie!" A Niemcy swoje: „Raus du Polische schweine, alle raus!" Nie pozwolili nam się ani porządnie ubrać, ani zebrać żadnego jedzenia, nic.... Moi rodzice byli już dość starzy, więc Niemcy kazali zaprzągnąć konie i jechać do Jabłonkowa, żeby było prędzej.

Wspomina Zuzanna Kawulokowa, żona Józefa

Tak jako wszyscy i my jechaliśmy do Czytelni do Jabłonkowa a potem piechotą ruszyliśmy w kierunku Nawsia na dworzec kolejowy. Tu pragnę dodać, że siostra mego męża znalazła w sobie wielką odwagę i przyszła za nami do Czytelni i zabrała nam dwuletniego Janka, za co jestem jej przez całe życie niezmiernie wdzięczna. Pociągiem pojechaliśmy w nieznane, nic nie wiedzieliśmy o naszym dalszym smutnym losie. Jechaliśmy w stronę Bogumina, w Heidebergu (Kędzierzyn-Koźle) nocowaliśmy w podchodzie na dworcu, już nie jako ludzie, ale pozbawieni godności człowieka niewolnicy. Następnego dnia dojechaliśmy do Brieg (Brzeg), miasta powiatowego, na urząd pracy, gdzie Niemcy przychodzili po nas i wybierali jak niewolników. Czekaliśmy cały dzień, aż na sam wieczór podjechał wielki „*platyniok*" wóz i ten wziął całą rodzinę.

Całą noc jechaliśmy aż do wioski Mangschütz, w której był wielki prywatny majątek rolny: Dominium in Mangschütz. Praca w polu jest bardzo ciężka i męcząca. Pracowaliśmy od rana do wieczora, zimą i latem, a to wszystko za dwa fenigi na godzinę. Wszystko w polu robiliśmy ręcznie.

Prace u bauera - Dominium in Mangschütz

- sadzenie ziemniaków – otrzymaliśmy duży fartuch na szyję, jedną ręką go trzymaliśmy a drugą nasypali widłami ziemniaki, które później kładło się do dołków, które narobiła maszyna, każdy ziemniak należało nogą zasypać, zatłoczyć i tak, aż były pola przeznaczone na ziemniaki obsadzone.

- sianokosy i żniwa – wszystko ręcznie postawić i zwozić końskimi furmankami, nakładać i składać. Zboże jedni nałożyli, drudzy wymłócili, i tak dwadzieścia drabiniastych wozów za dopołudnia. Tak było dzień za dniem – pszenica, żyto, rzepak, mak. Owies i jęczmień zwożono do polnych stodół, młóciliśmy go później całą zimę.

- kopanie ziemniaków trwało sześć tygodni. Traktor wykopał całe pole a my zbieraliśmy je do dużych koszy na wóz, który jechał za nami. Potem się je sortowało, służyła do tego maszyna ręczna, przy której pracowało sześć kobiet. Dwie nasypowały ziemniaki, dwie je obracały a dwie odnosiły do kopców na nasienie. Na jedną stronę sypały się grube, na drugą drobne, które odnosiły kobiety na wozy. Robota była męcząca i zawsze kiedy na to wspominam, chce mi się płakać.

- po ziemniakach przyszła rzepa. Na sześciu ogromnych polach po dziesięć posków. Pierwsze kopanie, drugie kopanie, przecinanie a jesienią wyrwać i obciąć, wszystko ręcznie. Została jeszcze marchew, którą zawsze zakurził śniyg. Na samą myśl mnie jeszcze oziąbie w ręce.

- a zimą? – były dwie ogromne polne stodoły pełne zboża, trzecia we dworze, i całą zimę, dzień po dniu byliśmy na mrozie przy męczącej pracy. Najgorsze było, że nie mieliśmy żadnego cieplejszego ubrania.

- przyszła wiosna – ogromnie zimna, silne wiatry. My albo pracowaliśmy w lesie, albo już na polu rozsiewając wapno i sztuczne nawozy. Wszystko rękami.

Nie było ani jednej chwili wytchnienia. Za całe trzy lata nie mieliśmy żadnego urlopu, jak niewolnicy, Polacy nie ludzie.

Nasza nowa wioska tam na wygnaniu

A nasze mieszkanie? Było nas dziesięciu, mieliśmy dwa pokoje i jedną małą kuchenkę, w niej mały piecyk kaflowy do gotowania. Każda rodzina gotowała sobie osobno. Muszę dodać, że jedzenie było bardzo skromne, przeważnie zupa ziemniaczana na obiad a wieczerzę stanowił garnek mleka z ziemniakami. Rano była czarna kawa i suchy chleb, bo kartek nam nie dali a od dworu otrzymaliśmy ziemniaki, litr mleka i jeden chleb na osobę na cały tydzień, do tego jeszcze 20 dkg masła. To było naszym wyżywieniem przez całe trzy lata.

W tych stronach, gdzie żyliśmy, była kiedyś Polska, później kraj był 300 lat pod Niemcami, ale wszyscy tutaj mówili gwarą górnośląską. Nazwy wszystkich miast brzmiały po Polsku, dopiero Hitler kazał nazwy miast przepisać. Wioska, w której przyszło nam w czasie wojny żyć, była schludna, na równinie. Był tam piękny zamek z ogrodem, jego zarządcą był inspektor Georg Gisberg. Był to wielki gospodarz, dobry człowiek, nie był hitlerowcem. Zawsze pozdrowił: „Szczęść Boże, jak idzie to wszystko?" Mieliśmy nosić literę P, współpracownicy Niemcy powiedzieli, że nie ma tu żandarmów, nie noście tego, my was kochamy. We wsi były trzy sklepy, apteka, rzeźnik, lekarz, dentysta i szkoła. Bardzo miła to była wioska, ale nie nasza. Tęskniliśmy za swoimi stronami, naszymi pięknymi górami Beskidami, za Olzą i rodziną. Razem z nami, z naszej wioski z Nawsia, było wywiezionych 24 rodzin i tak jako my przeżywali trzy lata pod znakiem ciężkiej harówki i tęsknoty za domem rodzinnym. Byliśmy rozsiani daleko jeden od drugiego. Pocieszaliśmy się zawsze, że wrócimy do swoich stron, domów i pola i nuciliśmy sobie:

Tam gdzie nasza stara Olza ma swój brzeg,
Jedna najpiękniejsza z naszych śląskich rzek,
Tam gdzie ziemia żyzna przesiąknięta krwią,
Tam jest ma ojczyzna, mój rodzinny dom.

Do naszej wsi przywożono też jeńców wojennych, Rosjan do pracy. Oni nam opowiadali, jak strasznie ciężkie jest życie w Rosji. Zawsze braliśmy dla nich chleb na swaczynę, choć sami mieliśmy tak mało. Od nich dowiedzieliśmy się, że Hitler i Stalin to „*wsjo takije rowno"*, obaj zabijają i biorą wszystko, a człowiek jest dla nich mniej niż zwierzę.

Jeńców co pewien okres zmieniali. Zdarzyło się, że przywieźli Czechów wynędzniałych, słabych i na pół nagich.

Jeden z nich mnie prosił, że mają w domu sklep z odzieżą, że napisze małżonce, aby mu przysłała paczkę z ciepłymi ubraniami a ja miałam być pośrednikiem. Strasznie się bałam, ale w końcu wszystko się udało. Pani nazywała się Bożena Kukrle – Obchodní dům. Po wojnie jeszcze przyszedł list z podziękowaniem. Pragnę jeszcze wspomnieć, że w naszej wsi była duża gorzelnia, gdzie palono spirytus do aeroplanów 94-procentowy, co nigdy nie zamarzał. W sąsiedniej wsi był wielki tartak, tam pracował pan Paweł Tacina z Oldrzychowic, który nas często odwiedzał.

Droga powrotna

Już od 15. 1. 1945 roku Niemcy otrzymali rozkaz, żeby od granic polskich opuścili wszystkie miasta i wioski. I tak dzień za dniem ciągnęli na zachód – furmankami, pociągami, małymi wózeczkami, które ciężko pchali przed sobą a nie mogąc uwieźć, rozrzucali dużo rzeczy po przykopach, uciekali przed Rusami. Nasza stodoła stała obok drogi i widzieliśmy ich rozpacz i lęk. 21 stycznia rozkaz wycofania się otrzymała też nasza wioska, tylko Polacy mieli nakaz pilnować bydło. Kiedy przyszedł front, cierpieli nie tylko ludzie, ale też zwierzęta... Było to straszne – krowy i świnie głodne, konie bezładnie biegały po śniegu a my siedzieliśmy wystraszeni w piwnicy. Ten dzień był przerażająco smutny, szary i ponury.

O północy pierwsze strzały i przyjazd tanków, tylko my nie wiedzieliśmy, kto to jest. Szwagier Władek szedł to zbadać : „*to Ruski, jedno gorsze od drugiego, jesteśmy w pierwszej linii frontu...”*. Byli to Gruzińcy – nakazali nam ugotować obiad, ale nie jedli, aż razem z nami. Byli dobrymi ludźmi. Potem przyszedł pan Parkitny, Polak, i mówi: „*Kawulokowie, my odjeżdżamy, chodźcie z nami, mamy mały domek, ale swój, koło Częstochowy, u nas już jest wolno a u was w Cieszynie jeszcze front”*. Mieli dwie dziewczynki 12 i 14-letnią – z wielką biedą je uratowali przed ruskimi żołnierzami. My jednak zostaliśmy, oni odjechali.

Przyszła pierwsza linia frontu, niezliczona ilość wojska, tanków. Oczywiście żołnierze wypili cały spirytus, straszne. Z jednej strony palił się zamek a z drugiej fara i masa pijanych chłopów. My jeszcze tego samego dnia, na sam wieczór byliśmy zmuszeni opuścić Mangschötz, bo szwagier Władek zrozumiał jak mówili: „*Mużiki pobijem a z żonkami pohulamy*”. Nie było na co czekać, noc nie noc trzeba ruszać w drogę. Zanim odjechaliśmy, to stwierdziliśmy, że nas okradli i pozbierali co lepsze rzeczy. Za trzy lata mieliśmy 600 marek. Nie zostało nam nic. Z gołymi rękami przyjechaliśmy, z gołymi też odjeżdżaliśmy.

Ledwo żeśmy się przedostali za wieś na drogę a już nalot, bombardowanie. Jeden samolot spuścił się nisko i siał po cywilach. Pierwszego dnia dotarliśmy do Lipy i przenocowali we folwarku, który był pusty, trochę dalej od drogi. Wczesnym rankiem znów ruszyliśmy dalej w kierunku domu rodzinnego. Widzieliśmy, jak jednego Polaka zastrzelili Ruski, bo bronił dziewczyny. Szwagra Władka też chcieli strzelać, bo blondyn w białym swetrze, myśleli, że Niemiec, ale nadszedł oficer, Gruziniec i mówi, że to przecie Polak, ma napisane na „bumażce". On właśnie zeszłej nocy z nami mówił o trudnym życiu w Rusku. Dziwił się, dlaczego chciał Hitler wojny, kiedy u nich tak dobrze się żyje, są zamki, folwarki, pole jest zagospodarowane.

I znowu uciekaliśmy. My po jednej stronie drogi na wschód, wojska ruskie na zachód. I tak każdy dzień posunęliśmy się o 25 km coraz więcej zmęczeni. Wszędzie ogień, bombardowanie, strzelanie, ludzie i zwierzęta albo martwi, albo uciekali w nieładzie.

Kiedy doszliśmy do Kobioru, tam była wielka ruska kontrola. Wszystko zabierali, jednemu to nawet ściągnęli wysokie buty. Był zmuszony iść w skarpetach, w śniegu. Nogi mu odmarzły a potem leżał długo w szpitalu. Straszna to była droga. W dodatku ojciec męża, starszy człowiek nie mógł iść zbyt prędko. Kiedy wreszcie dotarliśmy do wioski Zgorz, jej mieszkańcy nam pomogli. My byliśmy strasznie zmęczeni, przestraszeni i głodni. Do dnia dzisiejszego w duchu dziękuję tym ludziom. W wiosce zostaliśmy dwa tygodnie, by wypocząć i nabrać nowych sił do dalszej drogi.

Praca w Mangschütz była trudna i męcząca, ale droga powrotna była straszna, na każdym kroku czyhała na nas śmierć. Tych dni nie można zapomnieć nigdy. I nawet choć się o tym mówi, to trudno opisać co wszystko należało przeżyć. Ten ciągły strach paraliżował nas, głód osłabiał nasze nogi, ale tęsknota za wolnością dodawała odwagi i otuchy. Po drodze były Komorowice, Bielsko, Żywiec, Istebna i wreszcie Bukowiec i nasze Nawsie. Nie było to takie proste, bo między tym było przymusowe kopanie okopów, front, głód, żołnierze niemieccy i ruscy. Pragnę dodać, że ruski żołnierz był czasem o wiele więcej niebezpieczny niż niemiecki. Nasze przeżycia zapełniłyby na pewno całą książkę.

Nareszcie w domu w Nawsiu

Do Bukowca dotarliśmy na wieczór. Tam przenocowaliśmy u znajomych. Rano wyruszyliśmy w kierunku Jabłonkowa. Pan Sikora Bóba nas odwiózł do domu przez Boconowice. Było 5 maja 1945 roku. Po strasznej pięciomiesięcznej drodze

wreszcie wróciliśmy. Zastaliśmy dom pusty. W chlewie stała jedna krowa. Sąsiadka nas poinformowała, że kole. Niemiec jej wcale nie pasł. Był z Rumunii, wcale nie gospodarował. Miał służącą, która nas obrała o wszystko. Sąsiedzi widzieli, że cały tydzień wywoziła wszystko, co u nas było. Chcieli, żeby tam do niej poszedł mój mąż, by odebrał co jego. My jednak byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy w domu cali i jako tako zdrowi. Powoli się nam układało. Byli też dobrzy ludzie, którzy nam pomogli. Taki widocznie był nasz los. Mówiliśmy, niech jest jako chce źle, ale żeby nigdy więcej na świecie nie było wojny, tej strasznej zgrozy i cierpienia.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa
Tak mawiali starzy,
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się zdarzy.
Idziesz w drogę, chociaż blisko,
Z Bogiem wychodź z progu,
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie,
To podziękuj Bogu.

Tak to największa prawda, na każdym kroku widzieliśmy Opatrzność Boską, która nas opatrowała i prowadziła przez całe nasze życie.

Na sam koniec syn Jan dołącza pewien ciekawy fakt. Dyrektorem polskiej szkoły w Jasieniu przed drugą wojną światową był Leonard Guńka. Jego żona właśnie zjawiła się pewnego razu na folwarku w Mangschütz. Dopiero po wojnie wyszło na jaw, że była się przymówić za rodzinę Kawuloków u bauera, między innymi i za tym, żeby nie musieli nosić „P", za co należą jej się słowa serdecznego podziękowania.

Dalsze ciekawe stwierdzenie, to odnalezienie Biblii i kancjonałów należących do naszej rodziny, schowanych przez bauera Niemca na strychu za krokwią , które odnaleziono w latach 70-tych podczas remontu rodzinnego domu.

Arbeitskarte

polnischer Arbeitskräfte

Linker Zeigefinger

Raum für Fingerabdruck

Rechter Zeigefinger

Vor- und Zuname

Kawulok Anna

1. 42 10000. B/0544.

Umschlag.

Herkunftsland: Eingegliederte Ostgebiete *) / ~~Generalgouvernement~~ *)

Nr. 2

Arbeitskarte / Pozwolenie na pracę

Gültig nur für die unten bezeichnete Arbeitsstelle
ważne jedynie dla niżej oznaczonego miejsca pracy

LAA. Niederschlesien Nr. II a 15 /

Familienname: Kawulok Rufname: Anna

(bei Frauen auch Geburtsname): ~~ledig~~ verh., ~~verw., gesch.~~ *)

Geburtstag: 13.4.91 Wird die deutsche Sprache beherrscht? ja/~~nein~~ *) ~~männlich~~/weiblich *)

Heimatort: Newsi Kreis: Teschen

Staatsangehörigkeit: ehemals polnisch

Beruf: **landwirtschaftlicher Arbeiter**
robotnik rolny

Arbeitsbuch-Nr.

Unternehmer (Arbeitgeber): Dominium Hangschütz

Arbeitsstelle (Ort): Hangschütz Kreis: Brieg

Des Empfängers der Lohnersparnisse: Vor- und Zuname 31.1.1945 23243 P.

sowie Wohnort und Kreis

Ausgestellt am 5. Mai 194 2 Gültig bis 15. Dez. 194 2

*) Nichtzutreffendes streichen. — B erstm. — 20 000. 2. 42. B 006

Karta pracy Anny Kawulok

Zaplacené měsíční příspěvky
Zaplacone wkładki miesięczne.

SPV

Sdružení politických vězňů a jejich příslušníků okresu Jablunkovského
Związek więźniów politycznych i ich spokrewnionych pow. Jablonkowskiego

Legitimace čís.
Legitymacja Nr.

pro člena Kawulok Josef
dla członka

Předseda – Przewodniczący

Jednatel – Sekretarz

621. — 1000.

Jméno – Imię Josef

Příjmení – Nazwisko Kawulok

Narozen – Urodzony 28. 2. 1912

Bytem – Zamieszkały Návsí-Jablunkov č. 31

Příslušný – Przynależny Návsí

Okres – Powiat Český Těšín

Národnost – Narodowość Polská

Byl vězněm politickým – Był więźniem politycznym

od 12. 3 do 16. 3. 1942

kde – gdzie Jablunkov

Jest vdovou - příbuzným po zemřelém politickém vězni
Jest wdową - krewnym po zmarłym politycznym więźniu

Vlastnoruční podpis – Własnoręczny podpis

Jest členem odbočky politických vězňů
Jest członkiem grupy więźniów polit.

Návsí - Jablunkov

Předseda odbočky – Przewodn. grupy

ODBOČKA NÁVSÍ

Dom w Mąkoszycach, gdzie mieszkali Kawulokowie

Zdjęcie jest powojenne, ale dom wyglądał tak samo.

W domu mieszkali :

- *Jakub i Anna Kawulokowie*
- *ich syn Józef z żoną Zuzanną*
- *Władysław Sikora (Grzibek) z żoną Joanną (z Kawuloków)*
- *Jan Janiczek z żoną Anną (z Kawuloków)*

Władysław Sikora
**1917-1960*

Joanna Sikorowa (z Kawuloków)
**1921*

*Władysław Sikora *1917 z żoną Joanną *1921 z Kawuloków*
Zostali wywiezieni 12 dni po swoim ślubie do Mąkoszyc (Mankszütz). Tam obaj początkowo pracowali u wielkoobszarnika Von Landsberka na roli.
Władysław jako robotnik rolny, Joanna później jako służąca w miejscowym zameczku.

Wrócili wiosną 1945r.

Dane o rodzicach oraz zdjęcia udostępniła Bronisława Lenczowska (z domu Sikora)

Niemiecki lagier w Hannover 1940r., w środku Sikora Władysław

18.4.1941 - narzeczeni

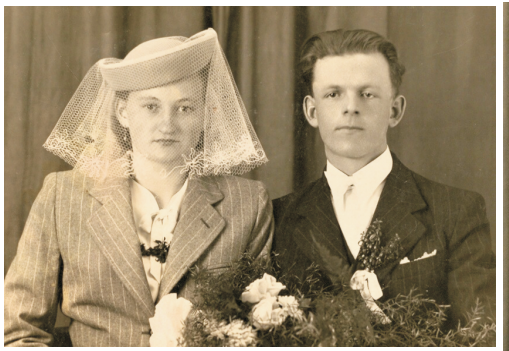

Ślub 11.4.1942

Rodzina Sikorów (Grzibków) nr 172 - Jan

Sikora Jan
**1909 - ✝1991*

Sikorowa Helena
**1922 - ✝2011*
(wywieziona z Bestwiny koło Bielska)

*Jan Sikora *1909*
Wywieziony ze swego gospodarstwa (z Kalinowego) do Reichu do bauera koło Brzegu (Brieg), gdzie początkowo pracował w polu, później został przesunięty do pracy w fabryce we Wrocławiu (Breslau).

Wrócił wiosną 1945r.

Rodzinne zdjęcia oraz zdjęcia z okładki udostępniła Zofia Raszka, córka Jana Sikory.
Zdjęcia sprzed jabłonkowskiej Czytelni i fragmenty pochodu wywiezionych jej ojciec otrzymał prawdopodobnie zaraz po wojnie na spotkaniu wywiezionych rodzin w Jabłonkowie.

Ślub Heleny i Jana - maj 1948

Władek *Helena* *Jan* *Paweł*

Historia moich rodziców

Chciałbym opowiedzieć historię moich rodziców, historię zawiłą, krętą, pełną grozy tych tragicznych czasów II wojny światowej. Wojna ta rozdzieliła w wielu wypadkach całe rodziny już na zawsze, ale co ciekawe, to jak w wypadku mego ojca, to przez tę wojnę „zgubił" żonę i dwóch synów, aby odnaleźć „nową" żonę, z którą po wojnie miał czwórkę dzieci, najmłodszym z nich jestem ja. Co słyszałem od rodziców o tych tragicznych czasach, to sobie skrzętnie zapisywałem, albowiem historia II wojny światowej jest moją pasją, taką już „obsesją".

Zresztą historia całej rodziny ojca jest ciekawa. Już nasz dziadek Adam Sikora z Nawsia-Jasienia w 1914 roku z honorami przyjmował późniejszego premiera i Wodza Naczelnego Władysława Sikorskiego (pisze o tym Zofia Kossak w książce Kraj Nieznany). Na cześć tej wizyty została w 2004 umieszczona na budynku polskiej szkoły w Nawsiu tablica pamiątkowa.

Losy rodzeństwa mego ojca to przekrój zawiłości naszego Zaolzia. Z ósemki rodzeństwa to właśnie mój ojciec i jego młodszy brat Władysław zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec. Najstarsza siostra, Anna Kożusznik, straciła swojego męża policjanta jako jeńca Ostaszkowa w Twerze. Siostra Ewa Prymus, żona dyrektora polskiej szkoły w Bystrzycy, straciła męża w Mathauzen, brat Józef ukrywał się aż pod Grudziądzem. Najstarszy brat Paweł, profesor Uniwersytetu Jagielońskiego, pod zmienionym nazwiskiem ukrywał się w okolicach Krakowa, zaś siostra Helena Niedoba przetrwała wojnę w Dębowcu, gdzie jej mąż pracował jako zarządca majątku ziemskiego jakiegoś wysoko postawionego Niemca a najmłodsza siostra Zuzanna, znając doskonale język niemiecki, pisała na maszynie w Sądzie Obwodowym w Jabłonkowie i to właśnie ona przyniosła wieść o wysiedlaniu rodzin polskich z Jasienia.

Było to jakoś koło 22.4.1942 roku, jak moja ciocia Zuzanna przyniosła tę straszliwą wieść na Kalinowe (tak nazywa się majątek, gdzie mieszka nasza rodzina) memu ojcu, Janowi Sikorze, przezwiskiem Grzibek, który mieszkał w domu z żoną Zuzanną z Tacinów, synami Janem i Stasiem, moją babcią Anną Sikora oraz najmłodszym bratem Józefem. Lista wywożonych obejmowała dziewięć rodzin z Jasienia, w tym i brata ojca Władysława, oraz mego wujka Pawła Sikorę, też Grzibka z sąsiedztwa. Ujec Władek (tak mu mówiliśmy) 11.4.1944 brał ślub z Johanną, córką Kawuloków, której też cała rodzina była wywieziona.Wywózka odbyła się 23.4.1942 roku a więc wywózka w głąb Rzeszy była ich „podróżą poślubną".

W domu gorączkowa porada – co robić i jak się zachować. Z żoną i dwojgiem dzieci ojciec mój nie ma dużego wyboru, więc pozostaje, ale radzi swej matce odejść zaraz z domu do swych dwu córek, w tym czasie już wdów Anny i Ewy w Nawsiu, a później do córki Heleny do Dębowca.

Tam moja babcia przetrwała resztę wojny. Wujek Józef również odchodzi, aby przez Nawsie, Wisłę i daleki Grudziądz, wrócić po wojnie na Kalinowe. Pracował jako robotnik leśny.

Droga do Czytelni w Jabłonkowie a potem do Nawsia

W nocy z 22 na 23 kwietnia 1942 roku wtargnęli na Kalinowe Niemcy i z okrzykami „raus", „schnell" i różnymi wulgaryzmami oznaczającymi Polaków wyganiają rodzinę ojca, oraz wujka Pawła z sąsiedztwa z domów. Mają około 20 minut na spakowanie rzeczy. Ale co brać? Ubrania, pierzyny, jedzenie? Jak wspominał mój brat Jan (z pierwszego małżeństwa mego ojca) największą obawę, jako wówczas siedmioletni, miał o to, czy mama zapakuje nowiutką, mosiężną sikawkę, krótą otrzymał na Wielkanoc. Później, jadąc na miejsce zbiorcze wysiedleńców w jabłonkowskiej Czytelni, odnalazł ją na wozie, którym jechali i fakt ten go bardzo pocieszył. Z Czytelni piechotą idą na dworzec kolejowy w Nawsiu. Przy krzyżu, w Nawsiu, naprzeciwko gospody U Mrózka, dużo osób klęka i wymawia te święte słowa modlitwy *Ojcze nasz....* by później chwycić rzuconą przez kogoś melodię *Góralu czy ci nie żal...* a żal był ogromny, boć się żegnają ze Swą Ziemią, idąc w nieznane. Na dworcu panuje wielki zamęt, okrzyki, płacz dzieci i ta atmosfera przyczyniła się do tego, że zebrani wokół dworca ludzie po prostu „wykradali" podawane im przez płot dzieci, by nie musiały dzielić losu ojców. Ciocia moja, Ewa Prymus, zabrała do domu sześcioletnią córkę wujka Pawła Helenkę. Synów ojca zabiera rodzina żony ojca, która to rodzina mając tzw. Volkslistę po pewnym czasie „wyrobiła" ją z Niemiec do domu.

Na robotach w Rzeszy

Ojciec nasz, jako i inne rodziny z Jasienia, dostaje się do „bauera" w okolicach Olau (Oława) i Brieg (Brzeg). Praca w polu ciężka, mozolna a wyżywienie zaś mizerne. Często głodował. Ojciec podkradał gospodarzowi gołębie i młodziki. Przyłapany dostaje się do więzienia gestapo. Ma ale szczęście, omija go obóz koncentracyjny, dostaje się „tylko" do obozu pracy w Breslau (Wrocław), gdzie pracuje do zakończenia wojny jako spawacz. Na fabrykę odbywają się często naloty - anglo-amerykańskie. Podczas jednego z nalotów, ogłoszonego syrenami, robotnicy uciekają do bunkrów – schronów. Robotnicy mają „swój" a Niemcy „swój". Uciekając ojciec widzi, że już nie zdąży, bomby już „gwiżdżą" nad głowami.

Jeden żołnierz niemiecki pociąga ojca za ramię do „niemieckiego" schronu. Jak mówił ojciec, bunkier aż podskakiwał do góry podczas wybuchów. Po nalocie wychodzą przed schron. Wokół apokalipsa. Ognie, dym, kurz, powyginane konstrukcje żelazne. Po prostu piekło. Tam, gdzie miał być schron dla robotników, ogromna dziura, zwały betonu, strzępy ludzkich ciał.

I tak żołnierz niemiecki uratował naszemu ojcu życie. W Breslau ojciec pracował do końca wojny.

Droga do domu

Najgorsze czasy nastały pod koniec wojny podczas blisko czterotygodniowego oblegania „twierdzy Breslau" przez wojska radzieckie. Bombardowanie, katiusze, działa biły bez przerwy. Brak wody, ogromny głód, wszędzie martwe ciała. Podczas ucieczki z tego kotła ojciec dostaje się aż pod Warszawę na stację kolejową Koluszki. Stąd pociągiem lub piechotą kieruje swe kroki na południe, na Katowice. Za Bielskiem ale stoi jeszcze front, nie ma szans dotarcia do Nawsia, do domu. Niedaleko Bielska jest wioska Bestwina, tam by miała mieszkać rodzina Heleny Stanclik, którą poznał na robotach przymusowych u bauera przed blisko trzema laty. U Stanclików pozostaje ojciec do połowy maja, kiedy to wrócił na Kalinowe.

Na Kalinowym po trzech latach

Na Kalinowym podczas wywózki ojca gospodarował Niemiec z Besarabii (zdaje się niejaki Janko). Mieszkał u wujka Pawła, a z naszego domu zrobił chlew. W domu, stajni i w chlewie zrobił betonowe żłoby dla bydła tak precyzyjnie, że w chlewie i stajni żłoby służą po dziś dzień, jako by były zrobione wczoraj.

Ojciec wspominał często, że podczas powrotu z Niemiec widział takie rzeczy, których nie sposób opisać. Przechodził raz przez małe miasteczko, doszczętnie zburzone i wypalone. Wokół wypalone czołgi radzieckie, dużo martwych. Rozmawiając z ludźmi dowiedział się, że to nie Niemcy tutaj się bronili, ale jedna grupa żołnierzy radzieckich znalazła tutaj gorzelnię ze spirytusem i broniła jej przed drugą grupą radziecką atakującą czołgami. Podczas bitwy wypalono całe miasteczko, zginęło niepotrzebnie dużo cywilów i żołnierzy.

Wspomnienia z czasów wojny naszej mamy

Nasza mama, Helena Sikora z domu Stanclik, urodziła się we wsi Bestwina koło Bielska-Białej jako szóste z ośmiu dzieci. Już pod koniec 1939 roku Niemcy zabierają na roboty przymusowe najmłodszego brata mamy Tadeusza, mającego czternaście lat. Później szesnastoletniego Alojzego, a za nimi naszą mamę, w ten czas osiemnastoletnią. Najstarsi dwaj bracia nie wrócili jeszcze do domu po wrześniowych walkach. Mama dostaje się do bauera we wsi Jaworze w powiecie Brzeg. Gospodarz nazywał się Szulc lub Szulce (pisane fonetycznie). Rozpoczęła się praca w polu, w chlewach. – Było ciężko, nie znaliśmy ich sprzętu, a mieli go wysokiej jakości – mówiła mama – nie znaliśmy języka, ale bauerowie byli ludźmi kulturalnymi, nie używali wobec nas wulgaryzmów, nie dawali nam odczuwać, że są „wyższą" rasą. Z początku mieli obawę, że jesteśmy złodziejami, czy wręcz mordercami, bo za cóż by nas wysiedlili, a jak się dowiedzieli, że tylko za to, że jesteśmy Polakami, nie mogli w to uwierzyć. Za wioską znajdował się obóz dla jeńców francuzkich i angielskich.

Jak wspominała mama, Francuzi byli zawsze niechlujnie ubrani, niegoleni, brudni, Anglicy zaś zawsze czyści, odprasowani, chodzili żołnierskim krokiem. – Co rano prowadzeni byli pod eskortą do pracy, a mijając nas, robotników przymusowych, podrzucali nam dostarczoną im przez Czerwony Krzyż czekoladę. Kiedy jaką miałam, to oddawałam ją dzieciom bauerów (było ich pięcioro), bo właściwie czekolady oni podczas wojny nie widzieli. Nie wiem, czy to ta czekolada, czy co innego, ale po czasie dostałam się do pracy w domu – mówiła mama. – *I tutaj miałam się już lepiej. Z bauerką gotowałyśmy posiłki dla rodziny i robotników, karmiłam kury, gęsi, kaczki. Z gospodynią zabijałyśmy i patroszyły drób, zamiatałam podwórze, pomagałam przy dzieciach. Najstarszy syn bauerów był w HJ i raz przechodząc koło mnie kopnął do mnie ze słowami „Ty polska świnio". Za to dostał od bauera tęgie lanie z tym, że tak nie wolno. W niedzielę popołudniu miewaliśmy wolne*. W*ięc my Polacy schadzaliśmy się razem, aby pogadać po polsku* – wspomina mama. Tam poznała swego przyszłego męża, a naszego ojca.

Koniec wojny niedaleko

– Zbliżał się powoli koniec wojny, już nie tak często było słychać z radia o zwycięstwach, lecz o bohaterskiej obronie. Dochodziły do nas ale coraz częściej wieści o okrucieństwach wojsk sowieckich – mówiła mama – ale gdzie była prawda,

tego jeszcze nie wiedzieliśmy. No, baliśmy się bardzo.Wreszcie przyszedł front. Przesiedzieliśmy trzy dni w piwnicy, na dworze strzelanina, krzyki. Ruscy wtargnęli do piwnicy, wyciągnęli bauera. Przez okienko widzieliśmy, jak go postawili na gnoju, dali do ręki 14 letniemu Polakowi karabin (pracował razem z nami) i pod pogróżką zabicia, kazali zastrzelić. Chłopak płacząc zastrzelił gospodarza. A bauerka? Ta już nawet nie płakała, nie miała już sił, a ten chłopak został „zaciągnięty"do wojska i odszedł na front. Pierwsza fala wojsk odeszła, przyszła druga i ta była trochę bardziej cywilizowana. Pozwolili mi podoić tę parę krów, co zostały jeszcze żywe i mleko dać dzieciom bauerki a miała już szóste, jeszcze w pierzynce. Jak sie trochę uspokoiło, to pomogłam jej z dziećmi przejść do jej siostry w sąsiedztwie no i więcej jej już nie widziałam. A teraz do domu. Był koniec stycznia, ogromny chłód. Szliśmy grupką kilku osób, zawsze bocznymi drogami, przez las. Baliśmy się ogromnie ruskich, wszędzie widzieliśmy rezultat ich działalności. Trupy nagich kobiet i to nie tylko niemieckich, postrzelane krowy, świnie, drób. Jak mówiła mama, wyglądało to tak, jak by byli oni wpadli w jakiś szał, jakiś obłęd. Bo jak tłumaczyć to, że rozbijali wszystko: talerze, garnki, zegary, drzwi, meble, rozpruwali pierzyny i wszystko wyrzucali przed domy na stosy a na wierzchu robili jeszcze potrzebę. Wieczorami wybieraliśmy jakiś dom na uboczu i jak się ściemniało, rozpalaliśmy w piecu ogień, by się ogrzać i coś zjeść. W jednym domu, wspominała mama, komin nie chciał ciągnąć. Mężczyźni otworzyli w sieni drzwiczki od komina. Stał tam młody żołnierz niemiecki, martwy, chyba ze strachu. Niekiedy jednak napotykaliśmy wojsko. Niektórzy nas ignorowali, ale inni mawiali -„..ha dziewoczki, popijem, pohuliajem...". Jak którą dopadli, mówiła mama, to już nigdy nie wróciła. Było to straszne. W mej obronie stawał zawsze Pyszko, Polak wywieziony z Mostów koło Jabłonkowa, który z narażeniem życia twierdził, że jestem jego żoną. Boże! Ile razy dostał za to po głowie kolbą, czy pięścią, tego nie mogę policzyć. Pod koniec naszej katorgi był osiniaczony, opuchnięty, bez połowy zębów. Jemu zawdzięczam chyba życie – wspominała mama. Po wojnie moi rodzice odwiedzali Pyszków i Pyszkowie chodzili do nas.

Pewnego razu znów napotkali żołnierzy – zwycięzców. Pyszko znowu oberwał po zębach, a ruski zainteresował się pierścionkiem na palcu naszej mamy. Pierścionek zrobił francuski jeniec z jednego feniga. Był błyszczący, po obwodzie miał wygrawirowane serduszka. Z żalem rozstawałam się z jedyną moją ozdobą, boć wszystko już oddałam za wyzwolenie. Żołnierz jednak miał jakieś serce, bo widząc żal w mych oczach wyciągnął z kieszeni pełną garść złotych pierścionków i kazał w zamian wybrać jeden. Nie patrząc na niego, zabrałam jeden – mówiła mama. Pierścionek do dnia dzisiejszego jest

w naszej rodzinie, jest złoty z małym rubinowym oczkiem. Teraz nosi go moja siostra. Jaki był ale los jego właściela?

– W lasach i wioskach dużo było jeszcze żołnierzy niemieckich, na których polowali ruscy. Często musieliśmy kryć się przed strzałami. Raz, kiedy to kule znów gwizdały wokół nas, skoczyliśmy za mur otaczający cmentarz. Za murem w śniegu leżały stosy uciekających przed frontem Niemców.-Było ich dużo - mówiła mama - bardzo dużo. Kobiety trzymały w ramionach martwe dzieci i chociaż to byli Niemcy, to jednak żal było tych martwych z głodu i zimna dzieci. Było okropne tak leżeć wśród trupów a jeszcze kule gwizdały nad głowami. Do domu wróciłam zbiedaczona, ale szczęśliwa. Szczęśliwa, że to już koniec pięć i pół roku trwającej tułaczki.

Obrazy tej grozy wracały w myślach rodziców aż do śmierci. W 1948 roku mama przyprowadziła się do Jasienia na Kalinowe, wyszła za mąż. Na Kalinowym żyła 63 lat do swojej śmierci w grudniu 2011 roku. Ojciec nasz Jan Sikora – Grzibek, którego mama poznała w Niemczech, zmarł w październiku 1991 roku.

Niekiedy zastanawiam się, dlaczego los tak okrutnie igrał z generacją naszych rodziców. Czym sobie zasłużyli, że zostali częścią tej okrutnej historii?

Pisemne opracowanie wspomnień:
Józef Sikora Grzibek
najmłodszy syn Heleny i Jana Sikorów Grzibków

Historia jednego pierścionka

O swej prababci napisał Michał Staszowski

Lubiłem słuchać prababci, jak wspominała okres drugiej wojny światowej i pomyślałem, że warto o tym napisać. Wydawało mi się, że historia ta zainteresuje nawet tych, którzy znali ją jako gaździnę od Grzibka.

Moja prababcia Helena Stanclik, którą wszyscy w rodzinie nazywali babcią, urodziła się 14.4.1922 roku w Bestwinie jako szóste z ośmiu dzieci. Bestwina to wieś w Polsce położona w Województwie Śląskim, w powiecie bielskim. W tamtym okresie cała Bestwina była częścią Czechowic – Dziedzic, jak mawiała babcia. W czasie wojny babcia została wywieziona w głąb Niemiec i o tym właśnie chcę napisać, bo mi cała ta historia wydała się bardzo ciekawa. Los taki spotkał podczas II wojny światowej wielu Polaków, ale w opowiadaniu mej babci jest coś, o czym pragnę napisać. Jak się wszystko zaczęło?

Pisze się listopad 1940. Dwaj najstarsi bracia babci nie wrócili jeszcze do domu po wrześniowych walkach, a Tadek i Alozjy byli już na robotach przymusowych. O godzinie 23:30 rodzinę Stanclików wyrwało ze snu łomotanie do drzwi. Ojciec czym prędzej otworzył, do sieni wtargnęło czterech gestapowców krzyczących imię i nazwisko ich córki Heleny. Ojciec prędko zbudził córkę. Słyszała tylko schnell, schnell. Rozumiała, co to znaczy. Szybko ubrała się ciepło, matka ukroiła kromkę chleba, ojciec przeżegnał ją i ... to początek mojej historii.

Nie wiedząc jak, osiemnastoletnia Helena znalazła się w zimnej piwnicy urzędu gminnego. Podzieliła tak los wielu innych młodych chłopców i dziewczyn Bestwiny. Siedzieli cichutko, przytuleni jeden obok drugiego, by choć trochę się zagrzać. Jak tylko się rozedniło znowu usłyszeli ...schnell...schnell..., aż w uszach bolało od krzyku i zgiełku. Całą młodzież pognali na dworzec w Bielsku-Białej, naładowali do wagonów takich jak dla zwierząt i pociąg ruszył. Nikt nic nie mówił, wszyscy się bali. Nikt nie wiedział, co będzie dalej i dokąd prowadzi ta ich szalona droga. Celem podróży był niemiecki Brieg (obecnie polski Brzeg), który leżał niedaleko miasta Breslau (obecnie polski Wrocław, ale w tenczas należał do Niemiec, dopiero po powojennym podziale przypadł Polsce). Wygnali wszystkich z wagonów, wszędzie rozlegało się schnell, schnell, gdzieniegdzie było słychać cichutki płacz. Niemcy nie zważali na nic i na nikogo. Tam na dworcu kolejowym czekali już bauerowie (rolnicy, gospodarze) i wybierali sobie młodzież do pracy na swych gospodarstwach. Sympatyczny młody Niemiec wziął moją babcię i jeszcze kilku chłopców i bryczką pojechali niespełna 15 km do dużego gospodarstwa we wsi Jaworze. Georg Scholtz, tak miał na imię gospodarz, przydzielił wszystkim pracę i obowiązki swe mieli pełnić wzorowo.

Wspomina babcia, że nic złego im się nie działo. Pracować wprawdzie musieli, a na gospodarstwie i wokół bydła jest praca trudna i męcząca, ale wyżywienie i mieszkanie mieli zapewnione. Pracowali wokół 70 krów, 500 kur, były gęsi, kaczki, świnie, ale gospodarz miał wszystko dobrze zorganizowane. - Suchego chleba nigdy nie jedliśmy – wspominała babcia. Gospodarze mieli piątkę małych dzieci. Kiedy odeszła dziewczyna, która dziećmi się opiekowała, bauerka Anna Scholtz wyznaczyła babcię do pracy w kuchni i opieki nad dziećmi, bo zauważyła, że ona je polubiła. Widziała, że chętnie z nimi rozmawiała, nie były jej obojętne a czasem to im nawet słodycze dawała, które otrzymała od francuskich jeńców. Bardzo ucieszyła babcię ta zmiana pracy i jak mówiła, odtąd miała się bardzo dobrze. Od czasu do czasu pisała do domu i otrzymywała listy. Jeden ją bardzo zasmucił. Informował, że jej szesnastoletni brat Lojzek jest w Oświęcimiu, ponieważ nie usłuchał brata Niemki gospodyni, u której pracował.

Kiedy już mowa o tym, pozwolę sobie kilka rządków na temat brata babci. W obozie koncentracyjnym był zaledwie cztery miesiące. Kiedy wrócił miał 45 kg (przy wysokości 180 cm), całe ciało pokrywały wrzody. Wtedy u bauerki odrabiał za niego ojciec a Lojzek musiał najpierw się wyleczyć, by mógł stanąć do pracy. Opowiadał, że pracował w kamieniołomie. Każde rano ruszali do pracy, droga prowadziła przez wielki staw (tych w okolicach Oświęcimia nie brakowało). Zrzucali pasiaki, przeszli staw, ubierali się i szli do pracy bez względu na pogodę. Woda była zimna, bo akurat była wczesna wiosna. Zmarznięci, głodni, zmęczeni ciężko pracowali każdy dzień. Wspominał potem Lojzek, że nikt nie wytrzymał dłużej jak trzy a najwyżej cztery miesiące.

Ucieszyła się babcia, kiedy dotarł do niej list, że brat jest w domu. Na gospodarstwie w okolicach miasta Brig pracowała babcia całych pięć lat. 23 stycznia 1945 roku zbliżył się front do samego miasta. Rozpoczęła się walka o miasto Brig i trwała do 6 lutego. – To był najstraszniejszy okres podczas całej II wojny - mawiała babcia. - Nie Niemców, ale Rusów bali się jak ognia!- mówi. – Rusi szli i wszystko, ale wszystko niszczyli. Kiedy front przechodził przez piękne, historyczne miasto Brzeg, wiele pamiątek legło w gruzach.

Była niedziela, godzina 9:30 – styczeń 1945 roku, nikt nic nie jadł, wszyscy byli przestraszeni i czekali, co się będzie dziać. Bauer, George Sholtz rozkazał, żeby wszystkie kobiety i dzieci przeniosły się do piwnicy. – *Słyszeliśmy katiusze, było zimno, było słychać ruskie rozkazy. Mieliśmy niesamowity strach i tak tam siedzieliśmy do drugiego dnia. Strzelali, ktoś krzyczał, ktoś płakał. Było strasznie... W tem Anna Scholtz mówi, że chyba na gnoju zabili jej męża. Ani nie płakała, tuliła*

tylko dzieci i powtarzała po niemiecku...co z nami będzie...

Koło południa dalszego dnia dzieci płakały, wszyscy mieli głód. Ruscy żołnierze ich w piwnicy odkryli i krzycząc kazali iść do stodoły. Jedna stodoła pełna siana była spalona, świnie były postrzelane, krowy biegały bezładnie,wszędzie był smród, zgiełk i wrzawa. Babcia stała i zakrywała sobie oczy dłońmi, kiedy usłyszała krzyk - dawaj, dawaj! Zanim stwierdziła, że żołnierz zwraca się do niej i od niej czegoś chce ubiegło kilka minut... po chwili stwierdziła, że ma na palcu malutki błyszczący pierścionek, zrobił go francuski jeniec z jednego feniga, miał po obwodzie wygrawerowane serduszka... i o niego właśnie mu chodziło. - Myślałam, że razem z palcem mu go oddam, tak prędko go zdjęłam. Wtedy ruski żołnierz zabrał mi go, ale zauważył, jak bardzo jestem zdenerwowana i przestraszona, sięgnął do kieszeni i wyjął pełną dłoń pierścionków. Miałam wybrać jeden, bałam się i niepewnie sięgnęłam po pierwszy i włożyłam na palec, leżał bardzo dobrze, złoty z maleńkim rubinowym oczkiem – opowiadała babcia. I oto cała historia pierścionka, który po dziś dzień jest w domu babci i jest własnością jej córki, cioci Zosi.

Wracała babcia do domu pieszo. Różne miejsca spoczynku wybierała. Szła bocznymi drogami i to cały miesiąc. Była głodna, nie miała gdzie odpocząć, czym ugasić pragnienie. Spotykała Niemców, Rusów i inne narody, wszyscy wracali. Jedni do domu, inni, mniej szczęśliwi, nie mieli dokąd. Babcia wracała z rodziną Pyszków z Mostów koło Jabłonkowa. Była wtedy ostra zima. Jak szedł front, wszystko było zniszczone. Na cmentarzach były położone ciała starców i dzieci. Nie wytrzymali takiej tułaczki. Ziemia była zmarznięta, więc nikt ciał nie grzebał.

- Zestarzałam wtedy o kilka lat - wspomina babcia - najstraszniejsze to los niewinnych dzieci. Bauerka też płakała, co z nią będzie, a co jej dzieci. Kiedy odwiedziłam ją w 1946 roku, zanim wywieźli ją do Niemiec, chciała mi oddać najmłodsze dziecko, była to córeczka. Bała się o ich los. Ale ja byłam młoda, co bym robiła z dzieckiem. Wiele razy przypomniałam sobie tę rodzinę i bardzo by mnie ciekawiło, jak im się ułożyło. Bauerka chyba już nie żyje, ale jej dzieci mogą mieć po siedemdziesiątce. Było mi tam dobrze. Zawsze się wszyscy na mnie gniewają, że tak mówię, ale taka jest prawda. Ruscy byli okropni, ich się bardzo bałam.

Nie wiedziała, że los zaprowadzi ją tak daleko od Bestwiny do Czech, aż do Nawsia-Jasienia. Dożyła się moja prababcia wysokiego wieku. Zawsze była miła i przyjazna, zawsze pozytywnie nastawiona. Nieoczekiwany gość zawsze był w jej domu mile witany. Nigdy na nikogo nic złego nie powiedziała, na każdym starała się znaleźć coś dobrego. - *Bo tak jest* -

mawiała babcia Helena - nie według narodowości, ale według charakteru trzeba sądzić człowieka, a tych dobrych cech trzeba czasem u ludzi poszukać, bo one są, tylko często dokładnie schowane. Niemcy zrobili wiele, bardzo wiele złego, ale nie wszyscy tak chcieli. Takie były czasy.

I oto historia jednego pierścionka, historia jakich wiele, ale dla mnie wyjątkowa, bo to historia mej prababci Heleny.

Rodzina Sikorów (Grzibków) nr 51

Sikora Paweł
**1901 - ✝1980*

Sikorowa Anna
**1911 - ✝1995*

*Paweł *1901 , Anna *1911 i najstaszy syn Paweł * 1933*
Zostali wywiezieni 23.4.1942 do Jankowic Małych (Klein Jenkwitz), koło Brzegu na gospodarstwo bauera Asmana, gdzie pracowali w polu.
Pozostałą czwórką dzieci zaopiekowała się do stycznia 1945 roku stareczka Anna Klimoszowa z Nawsia nr 75.
Paweł Sikora wrócił 3.5.1945, jego żona pół roku wcześniej.
Na gospodarstwa Pawła i Jana Sikorów został osadzony Niemiec z Besarabii Wiktor Janko z żoną i pięciorgiem małych dzieci.
Rodzina mieszkała u Pawłów a korzystała z zabudowań gospodarczych u Janów.

Sikora Paweł
**1933 - ✝2009*

Sikora Helena
**1936*

Sikora Anna
**1934*

Sikora Ewa
**1941*

Sikora Józef
**1941*

Co mi zostało w pamięci najwięcej? Jak w przeddzień wysiedlenia mama w domu płakała. Prała, suszyła, kole nas chodziła, aby my starsi zabawiali małych, bo byli niespokojni. Pomagali my w chlewie porobić, bo tata poszeł się spytać, co będzie z nami, bo my wiedzieli, że Polaków z Nowsio bedóm wywożać. Ale z Milikowa ni, a my byli skoro na granicy. Mieli my gospodarstwo przez sześć hektarów pola, nowy dom, co tata postawił w roku 1926. Sóm cegłe robił, woził cymynt z Goleszowa. Aby zarobił na dóm, z tego dómu wyjechoł na sztyry roki do Kanady. Nie dał się przemówić, żeby tam zostoł. Woloł wrócić, żyć na ojcowiźnie. Był Polakiem ciałym i duszą. Volkslisty nie podpisoł. Żodyn nie myśloł, że nas wywiezóm.

Rano przed pióntóm godzinóm wtargnęli do dómu niymieccy wojocy z esesmanym, co dowo rozkazy. Tata umioł po niymiecku, tak sie też odezwoł do niego. A ón porwoł pas ze szpinym i tate przez głowe tym szpinym uderzył. Aż wystrzikła mu krew z lica. Widzym to eszcze dzisio.

Esesman pozwolił, aby my spakowali do deki albo płachty obleczyni dlo całej rodziny. My dziecka też cosi na pleca wziyły. Pamiyntóm, aji bańke z mlykym my brali. Na siebie my nawlykli, co sie dało. Jo i brat Paweł my chodzili do Jasiynio do nimiecki szkoły, tak my też cosi rozumieli, co miyndzy sobóm mówióm. A jak krziczeli – Heraus! Heraus! Siostra Hela sie starała zabawić i uciszyć roczne bliźnięta, które udało się zawinięte w pierzynki podać sąsiadom przez okno. Odważną, która w tym czasie przy drugim oknie zabawiała rozmową wojoków niymieckich, bo umiała po niemiecku, była wtedy szesnastoletnia Hela Raszka, później Sikorowa od kowola. Potym nas nagnali, aby nasiadać na wóz i już jechać. Tata poganioł kónia, ale przed tym chcioł sie pożegnać z Siwkym, swoim umiłowanym kóniym. Ale na nim uż siedzioł esesman i przejeżdżoł sie kole nas. Wszyscy my z płaczym odjyżdżali z dómu.

W Czytelni

Jak my przijechali do Jabłonkowa, to sala w Czytelni już była skoro pełno. Nas dziecka tak nie odganiali od okiyn, jako starszych, ale poza salóm nas przeganiali. Do wychodka trzeba było iść na pole. Jo sie umiała po niymiecku domówić, tak mie puścili. Pod oknami było pełno ludzi. Od nich my dostali chleby i cosik na pici. Ciotka Hela podała nóm przez okno flaszke z mlykym. Ani nie wiym, kiedy nóm kozali sie pozbiyrać i iść do Nawsia na banhof. I tak zaczyna się ten wielki smutny pochód polskich rodzin, dzieci, rodziców i staruszków obwieszonych różnymi tobołkami. Wiynkszość szła pieszo. Jyny nikierzi jechali na wozach. Z lewej i prawej stróny my byli obstawieni wojokami, aby my im nie uciykli.

Te wspomnienia dopełniła pani Emilia Gazurowa następująco:

„Od Czytelni w Jabłonkowie szli lub jechali na wozach wywiezieni, a wśród nich i moja siostra Johanka z rodziną. Razem z bratem widzieliśmy ten pochód z oddali, byliśmy jeszcze dziećmi, nie rozumieliśmy powagi sytuacji, byliśmy odważni – szliśmy również w kierunku Nawsia. Jak pochód ruszył, zaczęto śpiewać „Ojcowski dom" a na moście nad potokiem Radwanów był wtedy krzyż, pod nim nikierzi przyklękli, modlili się. Trudna to była droga, może nawet na tej śląskiej ziemi ostatnia. Jak pochód był w Nawsiu kilkadziesiąt metrów od dworca kolejowego, zaśpiewano „Góralu czy ci nie żal..". Wtedy na pewno nie zdawałam sobie sprawy z powagi całej sytuacji. Na dworcu nie byłam, był ogrodzony...."

Na Banhofie

- Tak nas przignali na banhof - wspomina Hanka - gdzie był postawióny dość wysoki drewniany płot. Zaś nas rachowali i wołali, gdo mo już nasiadać do wagónów. Jak był taki zgiełk, a ludzie spoza płotu na nas wołali, to tata mnie i siostre Hele przez tyn płot podoł rodzinie. Mnie wziyła ciotka Hela Klimoszka. Siostre Hele tatowo siostrzynica Ewa Prymusowa. U nich Hela przebywała kilka dni, ale bardzo teschniała za rodzeństwem i chciała iść do starki. Potym już byliśmy razem w dwóch izbach pod opieką stareczki i ciotki Heli.

Walter Toman

Ze szkoły w Nawsiu przyszeł befel, by mnie zapisali od pierwszego września 1942 roku do drugiej klasy. Klasa była przepełniona a chodził tam też Walter Toman, syn niemieckiego urzędnika odpowiedzialnego za wywożenie Polaków w Nawsiu. Tak tyn Walter jak mógł, tak mi dokuczoł w klasie i na polu. Isto zazdrościł, że się lepiej uczę niż on. To, co mi do dzisio zostało wryte w pamięci to dziyń, jak do szkoły przyszedł inspektor. Zaczął nas egzaminować a co się spytoł, to jo się piyrwszo głoszę i dobrze odpowiadam. Inspektor się pyto, co to za dziewczyna. Jo wstała i nic nie mówiym. Potem wstoł tyn Walter Toman i mówi, że jo jest cera od wywiezonego Polaka.

Tak mnie inspektor zawołoł na wystympek ku tablicy i zaczął do mnie mówić. Niech zostawię tatę z mamą, że oni już i tak nie wrócą, że mnie odwiezie do lepszej niemieckiej rodziny. Ja zaczęłam płakać, posłoł mie do ławki. Na drugi dzień nie chciałam iść do szkoły.

Pod szubienicą

Z końca wojny nie zapomnę drugiego wstrząsu. Jak nam z całą szkołą kazali iść dwójkami na ceste pod cmentarz, gdzie były postawione szubienice. Mieli wieszać Polaków. Skazani mieli oczy zawiązane, my sie ale musieli dziwać. Jo sie nie chciała dziwać, oczy żech zawrziła, ale potym to jednak nie szło. I do dzisio móm przed oczami te bambylajónce ciała niewinnych ludzi. Dobrze, że przed kilku laty odsłonięto pomnik poświęcony tym ofiarom. Stoi przed czeską szkołą, bo na miejscu egzekucji wybudowano domy.

Te wspomnienia również uzupełniła pani Emilia Gazurowa a to tak:

„... Przed wykonaniem egzekucji zatrzymano naprzeciw szubienic pociąg, wszyscy musieli wysiąść i iść się patrzeć jak wieszają Poloków. Tak zastraszano ludzi”.

Wywiezionym rodzinom często pomagali w tych trudnych wojennych latach krewni i sąsiedzi. Uważam, że moralnym obowiązkiem jest wspomnieć ich zasługi, bez których czasem trudne było by przeżycie.

Nam pomogła Anna Klimoszowa z Nawsia nr. 75, nasza stareczka. Dała czwórce wnucząt dach nad głową, wyżywienie, opiekę i ciepło domowego ogniska. Troszczyła się też o nas siostra mamy, ciotka Hela, która pracowała jako pomocnica i sprzątaczka w sklepie „U Łabajów". Organizowała kartki żywnościowe, pracowała również na gospodarstwie. Druga siostra mamy Zuzka jeszcze chodziła do szkoły, ale również co mogła, to robiła. Razem z moją siostrą Hanką pasła krowy, suszyła siano. W czasie ich nieobecności mną i bratem bliźniakiem Józkiem opiekowała się o pięć lat od nas starsza nasza siostra Hela.

Nasza kochana stareczka

Stareczka, Anna Klimoszowa, z domu Pietrosz, pochodziła z Nydku. Była już od roku 1929 wdową. Dziadek Jan był kolejarzem, walczył w I wojnie światowej, wrócił jako inwalida. Stareczkę życie nauczyło zwalczać trudności. Nawet ciężka praca na roli dla samotnej kobiety nie była nie do pokonania. Umiała przezwyciężyć wiele trudnych chwil, które życie postawiło na jej drodze. Ręcznie kopała pola pod zasiewy czy pod ziemniaki. Potrafiła tak z niedużego gospodarstwa zapewnić wyżywienie nam. Nigdy nie poznaliśmy, co to jest głód. Była na tyle odważna, że pomimo zakazu mielenia zboża na żarnach, często nocą ukryte pod kolnią żarna puszczała w ruch. Pracowitość, zaradność a przede wszystkim serdeczność to cechy, które ją charakteryzowały aż do końca życia. Dożyła się niespełna 94 lat.

Klimoszowa Anna
**1885 - ✝1979*

Klimoszowa Helena
**1913 - ✝1984*

Klimosz Zuzanna
**1930 - ✝2001*

Bliźnięta wraz z rodzicami na Kalinowym miesiąc przed wywiezieniem

Dożynki 1942 w Jankowicach Małych

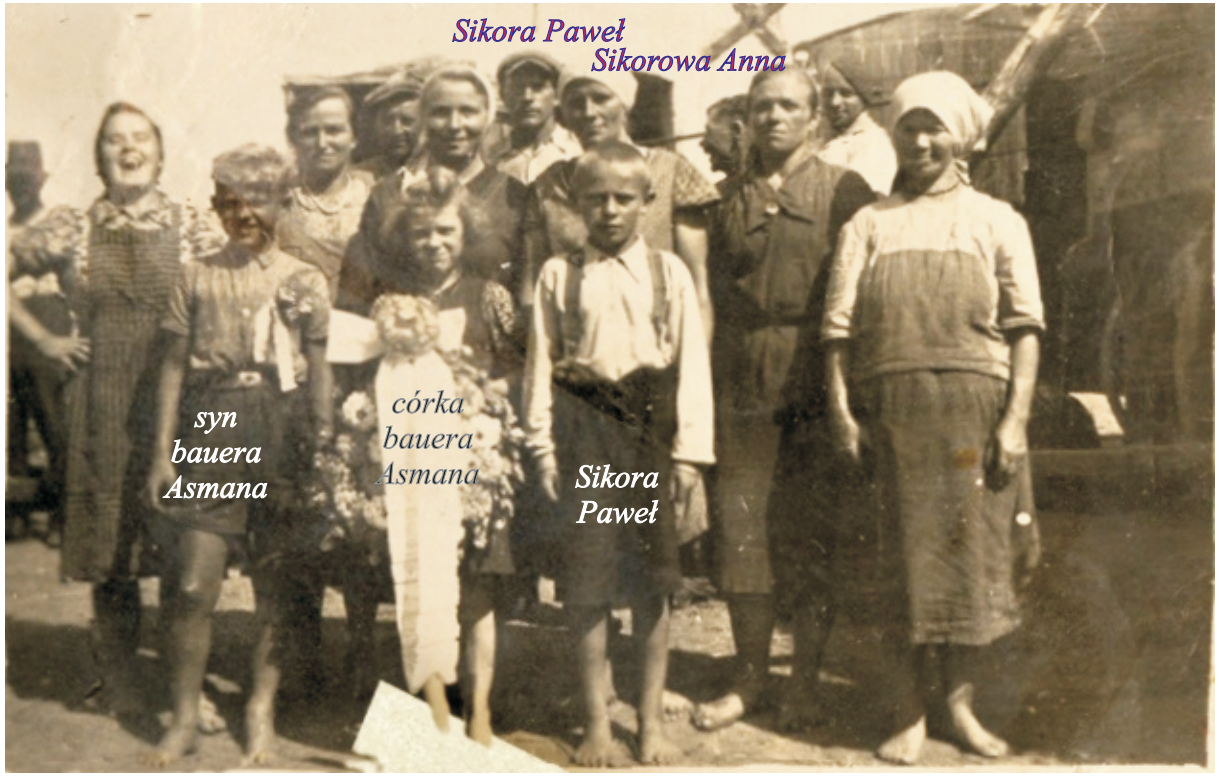

Nasi rodzice

Moi rodzice i najstarszy brat Paweł w Reichu pracowali u bauera, wykonując różne prace na rozległych polach oraz w gospodarstwie. Pamiątkowe zdjęcie z dożynek z roku 1942 u bauera Asmana uchwyciło wśród innych zatrudnionych tam robotników rolnych (Ukraińców, Francuzów, ...) zharowane twarze moich rodziców i brata.

Odwiedziny w Reichu

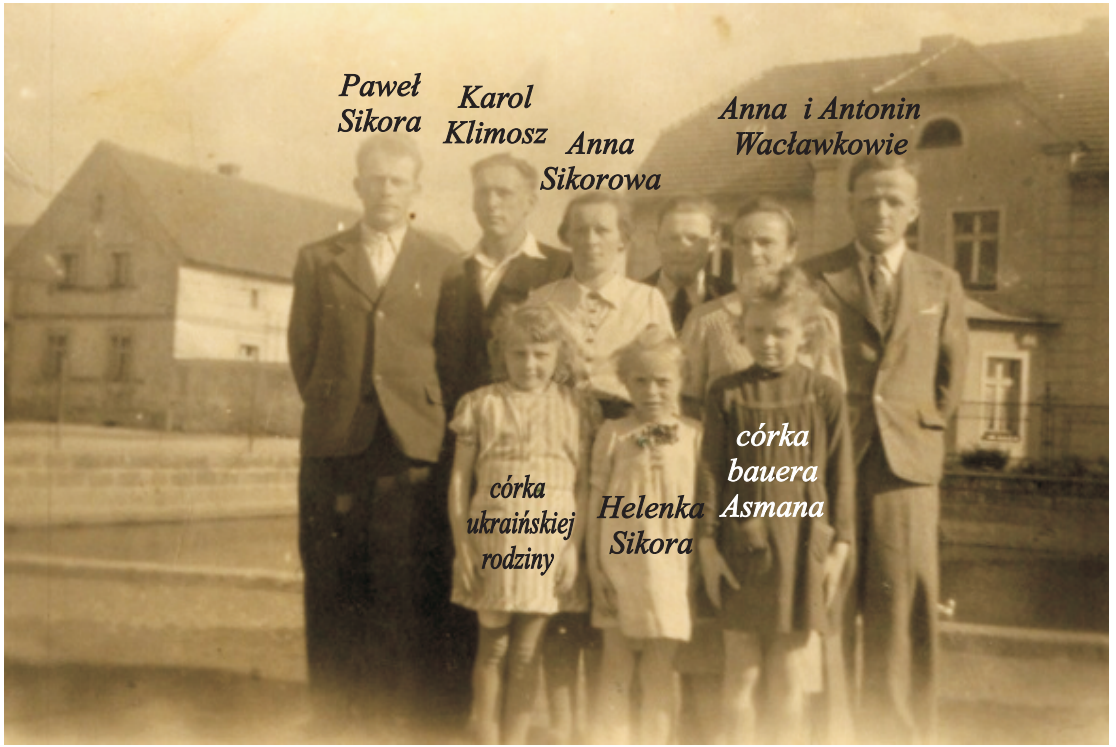

Mama zawsze mówiła: *„Robota w Reichu to nie było to najgorsze, ale teschnica, ta teschnica...”*. Rodzice i brat bardzo tęsknili za nami, szczególnie tęskniła mama. Była u kresu swych sił psychicznych z tęsknoty za dziećmi. Z jej wspomnień wiem, jak ciotka Hela nas bliźnięta przywiozła do Reichu. Trudno sobie wyobrazić podróż pociągiem z dwójką małych dzieci w dodatku w czasie wojny. Spotkanie z nami mamę podbudowało psychnicznie. W Jankowicach Małych rodziców odwiedziła również nasza siostra Hanka, później i siostra Hela.

Na zdjęciu są także bliscy przyjaciele moich rodziców Antoni i Anna Wacławkowie z Mostów koło Jabłonkowa, którzy zostali wywiezieni do tej samej wioski. W Jankowicach Małych urodziła się im córka Anna w dniu, kiedy alianci wylądowali w Normandii.

Odwiedziny w Reichu (zdjęcie strona 68)

Do Jankowic Małych za rodzicami i bratem zawiózł mnie wujek Karol Klimosz, który był na robotach w sąsiedniej wiosce. Dzięki niemu mamy w rodzinie sporo zdjęć z okresu wojny.

Do Oławy jechaliśmy pociągiem, dalej już pieszo. Było to wczesną wiosną, wokół rozległe pola i niekończąca się równina. Droga mi się wydawała strasznie długa i była męcząca. Ze spotkania z mamą zapamiętałam, jak wyciągnęła spod „zogłówka" chleb, który sama piekła i dała mi kawałek. Nie smakował mi, chyba był niesłony. Tam w Reichu im brakowało nawet soli. Córka ukraińskiej rodziny (jest na zdjęciu) oprowadziła mnie po gospodarstwie a mi się najbardziej podobały konie i dużo krów, które stały w chlewie. Rzędy krów, to mi utkwiło w pamięci. Miałam wtedy siedem lat.

Koniec wojny

Jak zbliżał się front w styczniu 1945 roku, z domu w Jasieniu uciekł bauer, zabierając, co się dało. Dzień po jego ucieczce, gdzieś koło Trzech Króli, mama piątkę dzieci na saniach w „koszynie" przywiozła do wyrabowanego domu na Kalinowym. Życzliwi sąsiedzi starali się nam pomóc, przynosili rzeczy codziennego użytku, jakieś skromne jedzenie. Sąsiadka Lisztwanowa oprócz jedzenia nam dała nawet pierzynę. Były to na pewno bardzo trudne czasy nie tylko ze względu na biedę.

Pod koniec wojny w naszym domu ukrywali się dwaj dezerterzy z wermachtu. Byli u nas kilka dni, mieli iść dalej. Niestety, ktoś powiadomił o tym gestapo. Przyszli po nich, odprowadzili i wiemy, że nie uniknęli śmierci. Chcieli zabrać również naszą mamę. Tym razem los nam sprzyjał. Akurat w tym dniu była u nas w odwiedzinach pani Guńkowa, żona kierownika szkoły w Jasieniu (sprzed wojny) dobrze mówiąca po niemiecku, która w jakiś sposób potrafiła Niemców przekonać i mamę pozostawiono w domu. Wiosną mama zaczęła pracę na roli. Bez pomocy sąsiadów nie dałaby rady. Było trzeba „zamnożyć". O ojcu nie mieliśmy żadych wiadomości. A jednak doczekaliśmy się. Wrócił 3 maja 1945 roku. Rodzina była razem a to w komplecie, nikogo nie zabrakło, było to wielkie szczęście.

Zaczynały się trudne powojenne lata w biedzie i niedostatku.

Jankowice Małe 18 lat po wojnie

Sikora Paweł - ojciec
z żoną Anną

Sikora Paweł - syn
z żoną Anną

Paweł Sikora Grzibek z Kalinowego był wywieziony z rodzicami

Mój mąż Paweł Sikora często wspominał okres swego dzieciństwa, kiedy razem z rodzicami przebywał na przymusowych robotach w Reichu. Ich życzeniem było widzieć, jak to gospodarstwo i pola, na których harowali, wyglądają po wojnie. Na początku lat sześćdziesiątych życzenie im się spełniło. Wyjechaliśmy samochodem do Brzegu, Oławy, Jankowic Małych i Wapienicy.

Jeńcy wojenni w Brzegu

Z miastem Brzeg (wtenczas Brieg) miał mój mąż wryte w pamięci przeżycie związane z jeńcami rosyjskimi umieszczonymi za drutami blisko drogi prowadzącej do dworca. Razem z ojcem wozili po tej drodze buraki cukrowe od bauera Asmana. Widzieli zgłodniałych, wyczerpanych jeńców. Zrzucali im z wozu buraki, niekiedy i chleb. Było to bardzo ryzykowne, ale mieli szczęście, nie zostali przyłapani. Tam oczami dziecka widział, co znaczy walka człowieka o pożywienie, walka o gołe przetrwanie.

Wspomnienia w Jankowicach Małych

W Jankowicach Małych koło Oławy w domu, który należał kiedyś do bauera Asmana, byli repatrianci – Polacy z kresów wschodnich. Gospodarstwo i pola zostały rozdzielone pomiędzy kilka rodzin, budynki gospodarcze pozostały niemal bez zmian. Doczepiona do chlewa szopa, która służyła rodzinie mego męża wtedy za mieszkanie, wyglądała z zewnątrz jak przed laty, wewnątrz wśród rupieci stał jeszcze piec, na którym gotowano skromne posiłki. Mąż wspominał, jak musiał mleć na młynku do kawy ziarno uzyskane z kłosów pozbieranych ukradkiem z pól, po żniwach. Jak jego mama i on gotowali z buraków cukrowych, też cichaczem przyniesionych z rozległych pól, syrop, który smakował jak miód. W skrytym pomieszczeniu tej szopy ojciec hodował króliki, aby było „co do garnka włożyć". Mężowi udało się niekiedy podczas zbierania jajek z kurnika z gospodynią (bauerką), wsunąć któreś za koszulę. Wtedy ugotowane jajko to była „gościna"!

Podczas odwiedzin w Jankowicach Małych mąż rozpoznawał miejsca, gdzie się ukrywał, kiedy uciekał ze szkoły. A co było powodem tych ucieczek? Nauczyciel bardzo surowo traktował uczniów, szczególnie Polaków. Stosował kary cielesne, bił bez umiaru. Mąż uczęszczał do jednej klasy z nieco od siebie starszym synem bauera Manfredem Asmanem, któremu gorzej szła nauka, a który pozwalał sobie w szkole na różne wybryki. Cięgi za nie otrzymywał mąż Paweł. Za taką niesprawiedliwość odważył się „zrewanżować" i pobił się z Manfredem, zwyciężając. Manfred poskarżył się ojcu i chyba czekał, że ojciec pomoże. Jakież było jego zdziwienie, kiedy usłyszał: *„Co z ciebie za Niemiec, jak się dasz pokonać Polakowi"*. Reakcja niemieckiego bauera mogła być faktycznie inna a konsekwencje tego incydentu srogie. Na szczęście bauer nie był zagorzałym zwolennikiem Hitlera. Jako Niemiec spełniał swoje obowiązki wobec Rzeszy. Produkował tak potrzebną w tych trudnych czasach żywność, oddawał kontygenty. Od przymusowych pracowników wymagał wydajnej pracy, lojalności, posłuszeństwa. Doceniał jednak rodziców męża za ich pracowitość, umiejętności dotyczące pracy na roli, uczciwość. Mogli nawet przyjechać na krótki urlop za dziećmi do Nawsia, ale na zmianę, nigdy razem.

Wspomnienia z końca wojny

W Wapienicy zatrzymaliśmy się na moście, gdzie teść około trzech miesięcy pracował jako milicjant razem z Rosjanami, którzy kontrolowali uciekającą przed radziecką ofenzywą ludność niemiecką. Razem z nim często pełnił służbę inny polski milicjant. Ten wyróżniał się wyjątkową bezwzględnością nie tylko wobec kontrolowanych ludzi, ale również wobec miejscowych obywateli, zastraszał ich, okradał.... Teść nie mógł się z tym pogodzić, ani nie mógł temu zabronić. Wiedział, że tak może postępować człowiek bez serca. Później się okazało, że był to członek SS. Został odkryty i zabrany przez specjalną policję. Był podejrzany, że umożliwiał ucieczkę zbrodniarzom wojennym.

Linia frontu uniemożliwiła teściowi wcześniejszy powrót do domu. Udało mu się wrócić 3 maja 1945 roku.

Łoboziak Józef
**1912 - ✝1993*

Maria Łoboziakowa
**1909 - ✝1951*

*Józef *1912 wraz z żoną Marią *1909 zostali wywiezieni do Reichu.*

*Ludwika * 1906*
wywieziona do polenlagru we Frysztacie. Pracowała jako służąca u pani Suchardowej - opiekowała się jej chorą matką.

Łoboziakowa Ludwika
**1908-✝1985*
(siostra Józefa)

Całą rodzinę wygnano z domu w grudniu 1942 roku w nocy. Mogli ze sobą wziąć tylko parę najpotrzebniejszych rzeczy. Ciotka Julka z synem Józkiem, ze mną i babcią uciekły do mieszkającej w sąsiedztwie siostry Frankowej i tam przetrwaliśmy całą wojnę.

Niemiec Sucharda

Rodziców i ciotkę Ludwikę wywieziono do lagru w Karwinie – Frysztacie. Tam ciotka Ludwika została wybrana do pracy jako służąca u pani Suchardowej. Opiekowała się jej chorą matką. Była to rodzina niemiecka, która spełniła prośbę mojej ciotki Ludwiki, by wyrobić moich rodziców z robót w Reichu. Pan Sucharda wpłynął na zmianę decyzji – i tak rodzice mogli nastąpić do prac na roli w sąsiednim Milikowie u gospodarza Kujawy. Ojciec mieszkał tam w brogu – było to pomieszczenie na siano i słomę. Warunki to były okropne, ale Milików to nie Niemcy, to przecież pod Kozubową, wydawać by się nawet mogło, że u siebie. Mama ze mną mieszkała u rodziny Raszków a chodziła pracować razem z ojcem do gospodarza Kujawy.

Rok 1943 - na robotach u p.Kujawy

Praca była ciężka a wynagrodzenie – 20 marek na rok.

W maju 1945 roku wszyscy wrócili w rodzinne progi, ale nie było gdzie mieszkać. Bauer Janko - Niemiec z Besarabii – który od roku 1942 zajmował nasze i sąsiadów gospodarstwa, przerobił nasz dom na stajnię dla koni, oborę dla krów. Nas przygarnęli pod swój dach sąsiedzi, rodzina Stańców, której udało się szczęśliwie wrócić z robót przymusowych z Niemiec.

Mieszkaliśmy w kuchni i jednej izbie, a było nas ośmioro. Rodzice zaczęli budować nowy dom, pracowali na swoim gospodarstwie. Jak zdobyli bydło i rzeczy potrzebne w domu i gospodarstwie, tego ja nie wiem. Po wojnie było wszystkim bardzo ciężko. Wtedy urodzili się jeszcze moi dwaj bracia Jan

i Władek. Zdrowie mamy, nadwyrężone przeżyciami wojennymi i harówką, nie wytrzymało długo, zmarła w roku 1951.

Mi pozostały tylko wspomnienia i rodzinne zdjęcia, którymi chcę się podzielić z czytelnikami i oczywiście pragnę, żeby już nigdy nie było wojny, żeby moje dzieci i moje wnuki mogły używać życia, może skromnego, ale w czasach pokoju.

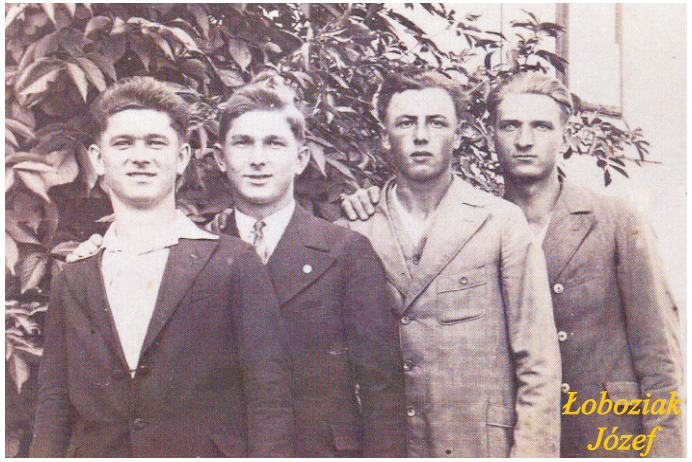

Rok 1930

Józef

Maria

na weselu siostry

Stańco Jan
**1905-†1971*

Stańco Ewa
z domu Ćmiel
**1911-†1962*

Wywiezieni 15.12.1942 do
Stralsund-Baerzhagen
(30 km od Hamburgu)

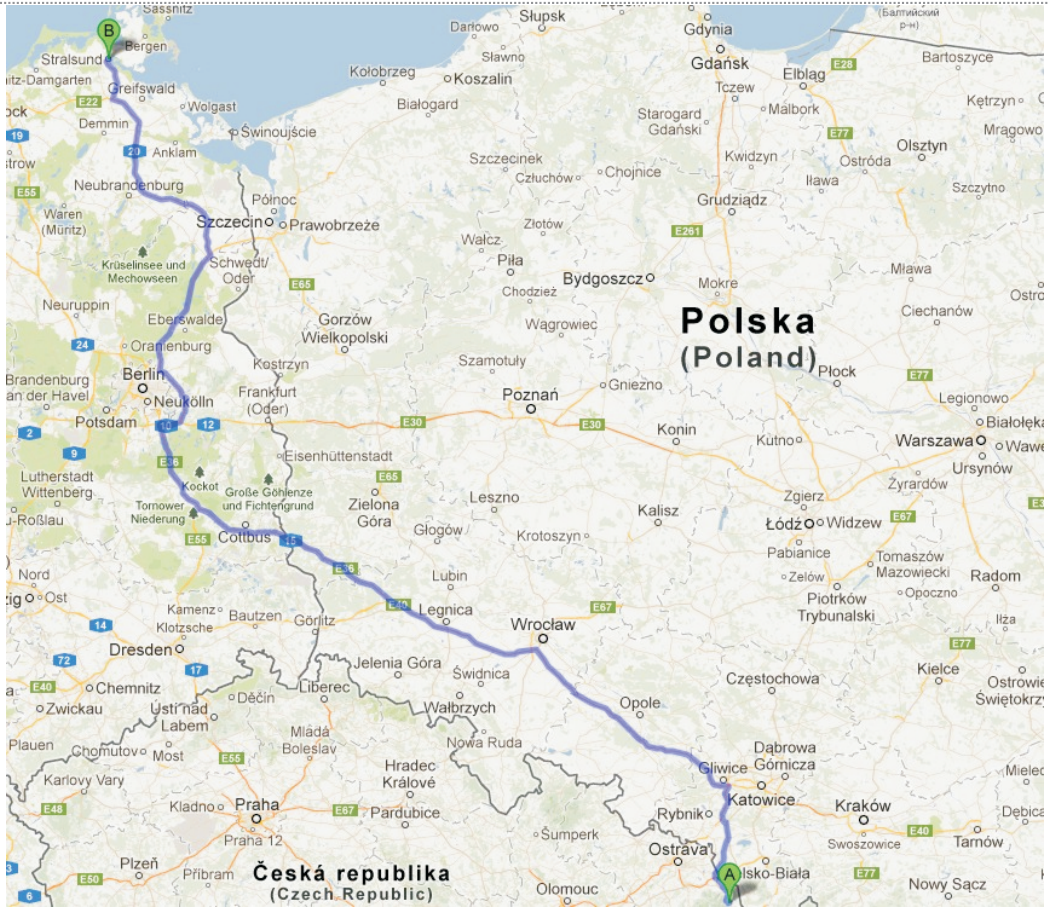

Wspomina Marta Prokelowa (z domu Stańco)

Moi rodzice byli wywiezieni na przymusowe prace w Niemczech 15.12.1942 roku do Stralsund – Baerzhagen – 30 km od Hamburgu. Początkowo sześć tygodni przebywali w obozie zbiorczym – Lager Orłowa. Musieli nosić jak i inni Polacy znak „P", matka miała numer 3732.

Mój dom rodzinny na Przybyłowicach zajął bauer Janko, Niemiec z Rumunii ze swoją rodziną. Dom (5 pomieszczeń) oraz gospodarstwo, a było to 5,5 ha pola, 4 krowy, 2 świnie, 1 koń i mnóstwo drobiu. To wszystko musieli moi rodzice zostawić i iść w nieznane. Z ogromnym bólem serca opuszczają też dwójkę dzieci – syna Józefa, córkę Annę oraz ich babcię Łucję, była to matka ojca. Udało im się schronić przed wywiezieniem u sąsiadów Wojtasów. Rodzina Wojtasów, która miała gromadkę swoich dzieci, przygarnęła jeszcze dalsze dwa, razem z ich babcią. Zapewniła im mieszkanie i opiekę do końca wojny. Babcia Łucja z wnukiem i wnuczką mieszkała w jednym pokoiku, a żeby dla dzieci było trochę jedzenia, chodziła mimo swego podeszłego wieku pracować do bauera, który zajmował nasze gospodarstwo.

Dzień powrotu rodziców:

Do domu w nasze strony, tu pod Kozubową, rodzice wrócili dopiero 18.6.1945 roku. Dom był zupełnie pusty. Tak samo było w gospodarstwie, to znaczy chlewy były bez bydła, bo wszystko zabrali Niemcy opuszczając nasz teren. Pomimo trudności zaraz rozpoczęli gazdówkę. Trzeba było przecież wyżywić rodzinę. Ja urodziłam się w roku 1946. Rodzice nadal pracowali na roli, ale mieli podłamane zdrowie na skutek przymusowych prac i oderwania ich od dzieci. Zmarli bardzo wcześnie. Mama w wieku 51 lat, ojciec mając 66 lat. Nie żyje również mój brat Józef Stańco i siostra Anna Mazurowa.

Mało, bardzo mało mogę wspominać. Jednak byłam wtedy szesnastoletnia, kiedy zmarła mama a poza tym wydaje się, że nikogo specjalnie wydarzenia z tamtych lat nie interesowały, a szkoda.

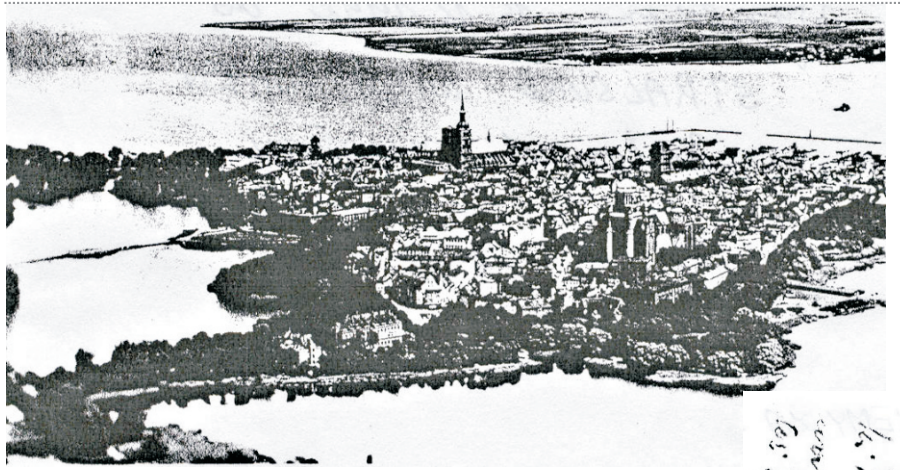

Korespondecję z naszymi rodzicami pomagała załatwiać pani Leokadia Krupowa, która w tym czasie pracowała na poczcie w Jabłonkowie.

Dołączam kopię kartki, którą rodzice wysłali z robót 29.9.1943 o następującej treści :

Serdeczne pozdrowienia zasyłamy naszemu Józiowi, dziękujemy za list, co nam pisał. My dotychczas dzięki Bogu są zdrowi, którego i wam życzymy.
Pozdrawiamy też Hanuśkę i babkę.

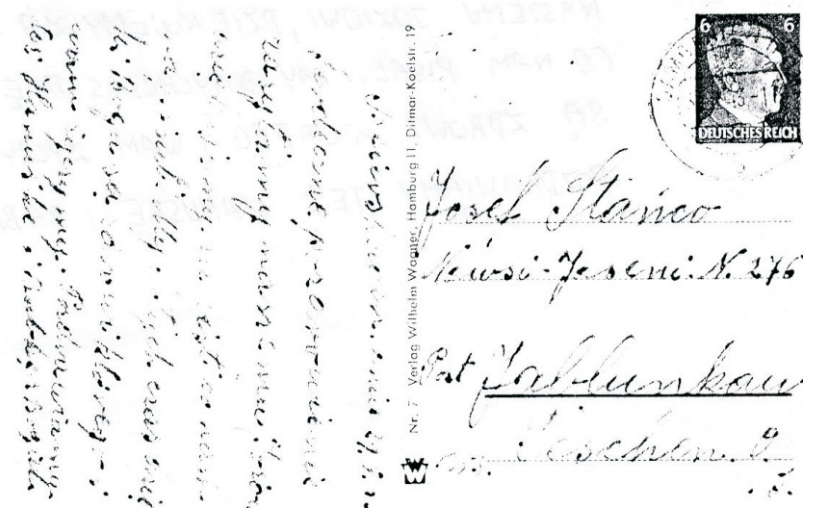

Kantor Adam **1907*

Kantorowa Ewa **1911*

ich dzieci

*Jan *1933, Adam *1934, Paweł *1939 , Anna *1943, Karol *1945*

*Kantor Adam (*1907)*
W 1940 roku wysłany na roboty przymusowe do Haydebrecku (dzisiaj Kędzierzyn).

*Ewa wraz z synem Adamem (*1934)*
w 1942 roku wywiezieni do polenlagru we Frysztacie, blok A. 15.1.1943 wysłani za ojcem do Haydebrecku.

Kantor Paweł (brat Adama)

Kantorowa Zuzanna

ich dzieci

*Jan, Paweł, Helena (już nie żyje), Karol *1943, Anna *1944*

Paweł Kantor z żoną Zuzanną i dziećmi
wywieziony do Oławy

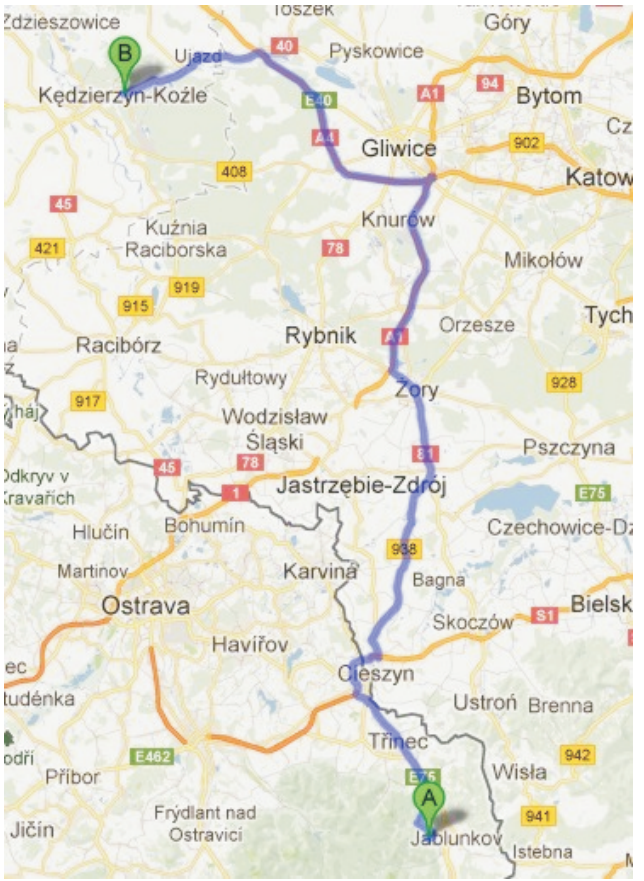

Nazywam się Kantor Adam. Rok urodzenia 1934 – w czasie wojennym mieszkałem w Nawsiu pod numerem 274.

W roku 1939 wybuchła druga wojna światowa, która miała tragiczny wpływ na życie wielu zwykłych ludzi. Mieszkałem w tym czasie z rodzicami i rodzeństwem w Nawsiu, gdzie mieliśmy dom, małe gospodarstwo a ojciec małe stolarstwo.

Moi rodzice na protest przeciw okupacji odmówili podpisać Volkslistę i pozostawili sobie polską narodowość. Z tego powodu byli prześladowani. Musieli znosić dyskryminację i nienawiść.

Gestapowcy w naszym domu

Mój ojciec był na początku roku 1940 odesłany na roboty przymusowe do Heidebrecku. Tym jednak prześladowanie nie skończyło. Dnia 23 kwietna 1942 roku, w rannych godzinach, wtargli gestapowcy do naszego domu. Wygnali nas z łóżek, nie mogliśmy z sobą niczego zabrać. Nie rozumiałem co się dzieje, ale chciałem za każdą cenę zostać z mamą. Mojego brata Pawła, który miał dwa i pół roku, uchroniła babcia, która zabrała go do siebie. Starszy brat Jan miał szczęście, bo w tym czasie był u starzików w Piosku.

W Czytelni w Jabłonkowie

Ja, moja mama, wujek Paweł Kantor z rodziną musieliśmy opuścić dom a później byliśmy transportowani do Czytelni w Jabłonkowie. Tam nas rozdzielili na kompletne i niekompletne rodziny. Całe rodziny wysyłano do bauerów do Wrocławia, Brzegu, Opola i tym podobnie. Niezupełne rodziny, tak jak ja z matką, były wysłane do lagru, był to taki obóz, we Frysztacie – blok A. W jednej chwili zmieniło się nam życie. Dziś wiem, że za wysiedlenia w Nawsiu odpowiedzialny był pan Toman.

Nasze gospodarstwo w Nawsiu

Cały majątek i gospodarstwo musieliśmy opuścić. Dla rodziców był to wielki życiowy cios, gazdówka przecie poprzez generacje była ich chlebem powszednim. Do naszego domu przyjechał nowy, niemiecki gospodarz – bauer.

Moi rodzice i my dzieci w jednej chwili straciliśmy nie tylko dom, ale i najbliższych. Nikt nie wiedział, jak to wszystko się skończy, czy się jeszcze kiedy zobaczymy, czy wrócimy w rodzinne strony. Trudno opisać warunki, jakie panowały w obozie, nie mówiąc o psychice, która była głęboko naruszona. Tortury, głód, apele i nieustanny strach z tego, co będzie dalej. Te właśnie przeżycia, ten okropny strach i obawy o moje i mamy życie, których doznałem w lagrze, do dziś mnie prześladują. Tych dni nie można zapomnieć. Nie można wymazać ich z pamięci.

Pewnej nocy przyjechało komando niemieckie i spośród nas wybierało ludzi z upośledzeniem, albo tylko ze znamieniem. Odwieźli ich nie wiadomo dokąd. Potem dowiedzieliśmy się, że byli zlikwidowani. Była między nimi i pani Ligocka z Mostów koło Jabłonkowa, z którą znała się moja mama. Było nam jej strasznie żal, bo była zupełnie zdrowa, tylko na twarzy miała znamię – ogień.

Moja mama pracowała przymusowo u ogrodnika Szmauza. Ja z innymi dziećmi byłem pod nieustannym dozorem niemieckich sióstr. Pamiętam, że okropnie się bałem o mamę, o siebie, często płakałem, to pamiętam po dziś dzień.

Dnia 28.12.1942 byliśmy z mamą odesłani za ojcem do Heidebrecku. To dzisiejszy Kędzierzyn. Była tam fabryka chemiczna. Później była fabryka celem bombardowania Anglików i Amerykanów. Podczas nalotu udało nam się z mamą dostać do pociągu i uciec stamtąd. Z wielkimi kłopotami wróciliśmy do Jabłonkowa. Ukrywaliśmy się aż do końca wojny u rodziny Pyszków w Piosku Na Płóniawej. Tam urodziła się w roku 1943 siostra Anna.

Szczęście miał też nasz ojciec, wrócił do domu 5.5.1945 roku.

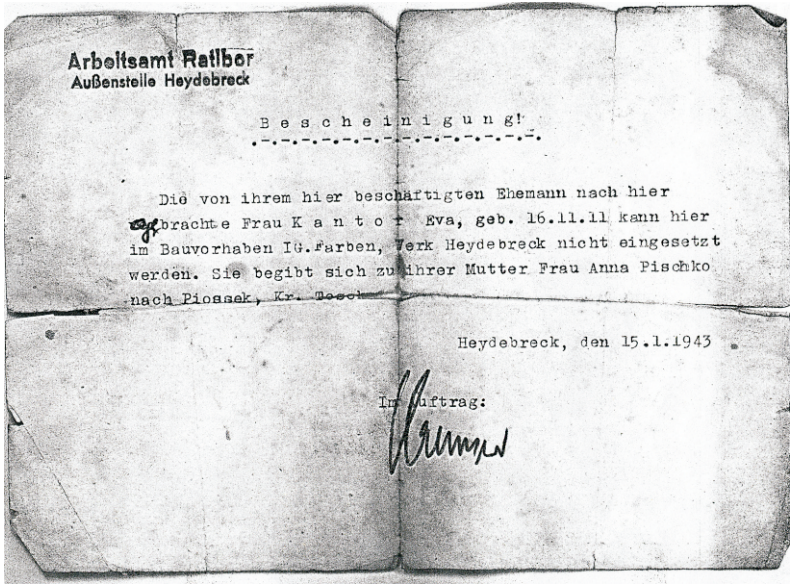

Arbeitsamt Ratibor
Außenstelle Heydebreck

B e s c h e i n i g u n g!

Die von ihrem hier beschäftigten Ehemann nach hier gebrachte Frau K a n t o r Eva, geb. 16.11.11 kann hier im Bauvorhaben IG.Farben, Werk Heydebreck nicht eingesetzt werden. Sie begibt sich zu ihrer Mutter Frau Anna Pischko nach Piosek, Kr. Tosch

Heydebreck, den 15.1.1943

Im Auftrag:

Zaświadczenie o opuszczeniu obozu z 15.1.1943

Powrót pod własny dach

Po wojnie wróciliśmy do spustoszonego domu. W naszych pokojach miał bauer skład zboża i paszy dla zwierząt. Trzeba było zacząć od początku. Od sąsiadów dowiedzieliśmy się, że na początku roku 1945 przyszli do naszego domu partyzanci i bauera zastrzelili.

Kiedy wreszcie przekonaliśmy kłopoty wojenne, doprowadzili dom i gospodarstwo do jakiego takiego stanu używania, przyszedł dalszy cios. Ojciec 21.3.1949 roku tragicznie zginął w Hucie Trzynieckiej.

Zostało nas pięcioro dzieci w wieku od 3 do 15 lat (brat Karol urodził się w 1945 roku). Moja mama, jako wdowa z piątką dzieci, borykała się w życiu niezmiernie. Ona poświęciła nam całe swe życie i myślę, że udało jej się z nas wychować uczciwych ludzi.

Nie zostawiam wspomnień dla siebie. Dziś staram się przekazać je moim dzieciom i wnukom, żeby nigdy nie zapominali na to, jak straszne przeżycia przynosi ludziom wojna.

Dokumenty Adama Kantora z urzędu repatriacji, umożliwiające powrót do domu

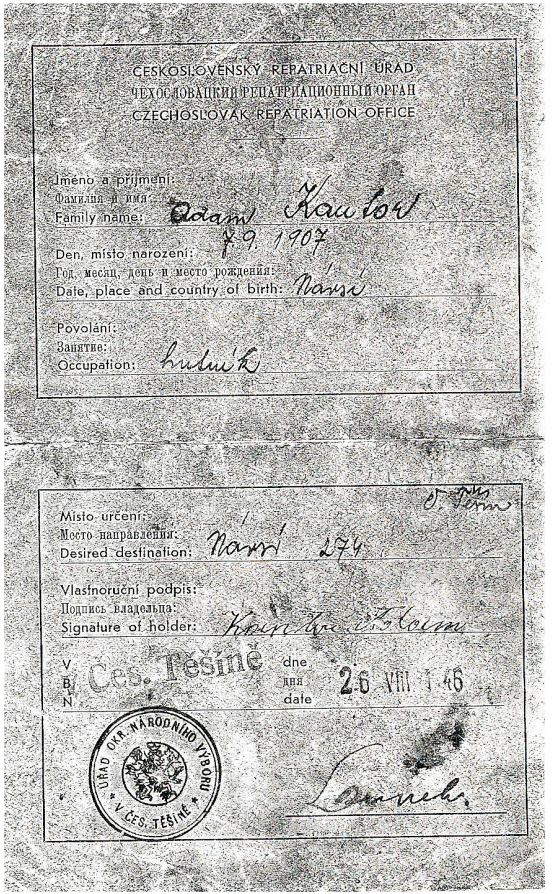

ČESKOSLOVENSKÝ REPATRIAČNÍ ÚŘAD
ЧЕХОСЛОВАЦКИЙ РЕПАТРИАЦИОННЫЙ ОРГАН
CZECHOSLOVAK REPATRIATION OFFICE

Jméno a příjmení:
Фамилия и имя:
Family name: Adam Kantor

Den, místo narození: 7.9. 1907
Год, месяц, день и место рождения:
Date, place and country of birth: Návsí

Povolání:
Занятие:
Occupation: hutník

Místo určení:
Место направления:
Desired destination: Návsí 274

Vlastnoruční podpis:
Подпись владельца:
Signature of holder: Kantor Adam

V Čes. Těšíně dne
B дня
N date 26 VIII 1946

ÚŘAD OKR. NÁRODNÍHO VÝBORU V ČES. TĚŠÍNĚ

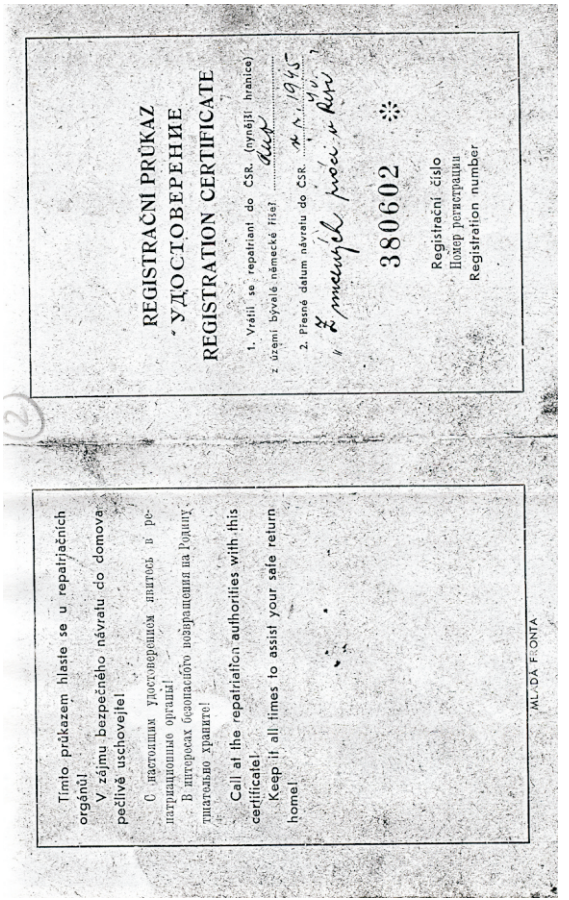

REGISTRAČNÍ PRŮKAZ
УДОСТОВЕРЕНИЕ
REGISTRATION CERTIFICATE

1. Vrátil se repatriant do ČSR. (nynější hranice) z území bývalé německé říše? dup

2. Přesné datum návratu do ČSR. 7. 9. 1945
„Z mnohých prací v Říši"

380602

Registrační číslo
Номер регистрации
Registration number

Tímto průkazem hlaste se u repatriačních orgánů!
V zájmu bezpečného návratu do domova pečlivě uschovejte!

С настоящим удостоверением явитесь в репатриационные органы!
В интересах безопасного возвращения на Родину тщательно храните!

Call at the repatriation authorities with this certificate!
Keep it all times to assist your safe return home!

MLADÁ FRONTA

Józef Szlaur *Ewa Szlaur*
**1908-✝1984* **1911-✝1966*

ich dzieci

Helena Szlaur *Jan Szlaur*
**1937* **1941*

Wspomnienia córki Heleny Ostruszkowej,

która została wraz z matką i dziesięciomiesięcznym braciszkiem Jankiem wywieziona w kwietniu 1942 roku z domu rodzinnego pod Loskami:

- Mój ojciec był już wcześniej wysłany do Reichu na prace przymusowe w hucie Laband.

W jabłonkowskiej Czytelni nas jako i inne niepełne rodziny zaszeregowano do grupy, którą umieszczono w lagrze we Frysztacie. Mama musiała pracować w fabryce śrubek i to zawsze tylko na nocnej zmianie. Jak pogodziła pracę i opiekę nad małym dzieckiem, nie mogę do dziś zrozumieć. Ja miałam wtedy 5 lat, również potrzebowałam matczynej opieki. Po trzech miesiącach, po wielkich prośbach mamy, nas wysłano za ojcem do Reichu. Owszem tam kobieta z dwójką małych dzieci była niepotrzebna. Wróciliśmy, ale nasz dom był zajęty przez Niemca – bauera z Besarabii Lercha z rodziną. Przygarnęła nas starka Kawulokowa z Boconowic, gdzie byliśmy aż do powrotu ojca, to znaczy do maja 1945 roku.

Pod Loskami zastaliśmy pusty, zupełnie wyrabowany dom, ale dom nasz - rodzinny... Należało zaczynać wszystko od początku. Nie wiem, skąd brali rodzice tyle sił. Od razu zaczęli pracować, nigdy nie gderali, nie mieli do nikogo żalu".

Janina Michałek
**1900-✝1959*

Adam Michałek
**1909-✝1998*

Karol Michałek
**1929-✝2013*

Janina Michałek
**1931-✝1994*
(po mężu Łukowa)

Rodzina była wywieziona do Reichu, wszyscy pracowali w gospodarstwie rolnym w tej samej wiosce co rodzina Pawlusów z Jabłonkowa. Powrócili wiosną 1945 roku.

Dane podała Danuta Weissowa z domu Łuka.

Anna *Jan*

Wywiezieni z synami Janem (1928-2007) oraz Tadeuszem (1934-2000) 23.4.1942 do Mąkoszyc (Mangschütz) na majątek ziemski właściciela Von Landsberka wraz z rodziną Anny. Mieszkali w domku razem z rodziną Kawuloków (Spod Cesty) oraz Władysławem Sikorą (Grzibkiem) z żoną Johanką z Kawuloków.

Anna (z Kurzyszów) *Jerzy*

Rodzina wywieziona 23.4.1942 do Kantorowic koło Brzegu (Dom Kantersdorf Kreis Brieg).Tam pracowali u bauera Ulricha Schmitta razem z rodziną Suszków z Nawsia i rodziną Adama Kawuloka z Jasienia.
Wrócili do Nawsia w 1945 roku.

Rodzina Dordów - Nawsie nr 5

Anna *Jerzy*

Wraz z córką Ewą pracowali u bauera w Lewinie Brzeskim (Löwen).

Rodzina Czudków (Karówczoków) - Nawsie nr 111

Paweł *Jan* *Anna*

Pracowali u bauera Schübilla w Radłowicach (Radwaldau) pomiędzy Opolem a Wrocławiem. Powrót w maju 1945

Rodzina Suszków - Nawsie nr 7

Paweł (ojciec aktora Karola Suszki) wraz z synem Pawłem pracowali razem z Janiczkiem Jerzym (nr.119) w Kantorowicach w Gminie Lewin Brzeski.

Rodzina Sikorów (Gucianów) - Nawsie nr 110

Zuzanna i jej synowie Jan, Paweł, Rudolf pracowali u bauera Zempen w Radłowicach (Radwaldau).

Powrócili w maju 1945.

Rodzina Sikorów (od Niedoby) - Nawsie nr 117

Paweł *1905 z żoną Heleną *1908 nie podpisał Volkslisty i trwał na swej polskiej narodowości. Dnia 23.4.1942 był z jabłonkowskiej Czytelni wraz z rodziną wywieziony do wioski Bąków (Bankau) w okolicach dzisiejszego Brzegu. Tam pracował u bauera Helmuta Raicherta. Bauerzy wybierali robotników według wyglądu, wieku, płci.

Powrót do domu był nieradosny. Ich gospodarstwo rumuński Niemiec Hymrel zniszczył. Dom przebudował na chlewy, meble spalił. Trzeba było zaczynać zupełnie od samego początku. Trudne to były dni, ale w domu i na swoim.

Rodzina Heczków - Nawsie nr 233

Władysław (Guniorz) – stolarz z żoną Ewą i córką Haliną

Byli wysiedleni do baurea do wsi Garbów (Garbendorf) niedaleko miasta Brzeg. Córka Halina wspominała odwiedziny pewnego kowala Stryczka z żoną, ale nie wie, gdzie i jak oni żyją obecnie.

Rodzina kowala Stryczka

Kowal Stryczek wraz z żoną, którzy mieszkali w Nawsiu „U Bocka” ze sklepu, po wojnie wrócili z przymusowych robót w Reichu i w Mostach koło Jabłonkowa wybudowali sobie dom, gdzie zamieszkali.

Nie mieli dzieci, wychowali adoptowaną córkę.

W Mostach wybudowali także kuźnię, gdzie kowal Stryczek pracował. Zmarł nagle podczas pracy w tej kuźni.

Rodzina Klimków - Nawsie

Szewc Jerzy Klimek z żoną Marią oraz synowie Jan, Karol i córka Wanda wyjechali w okolice Brzegu i po wojnie pozostali w Polsce. Córka Wanda żyje w Opolu a jej córka jest sędzią w Brzegu.

Rodzina Sikorów - Nawsie nr 120

Jerzy (Dąbek) pracował na folwarku w Królewcu (Königsberg) dzisiaj Kaliningrad w Rosji. Powrócił w 1946 roku, jego żona została w domu i pracowała u bauera jako służąca.

Rodzina Tacinów - Nawsie

Jan Tacina * 1940 był sierotą. Jako mały chłopiec (blondynek) został wywieziony do Istebnej-Kubalonki w 1943 roku. Potem razem z innymi zgromadzonymi tam dziećmi miał być wywieziony do Rzeszy w celu „poniemczenia". Ale jego starce Tacinowej (pochodziła od Kubuli z Jasienia) udało się wnuka tzw. wyrobić i Jan wrócił do domu w 1944 roku.

Dane o wszystkich tych rodzinach uzyskał i opracował Jan Kawulok

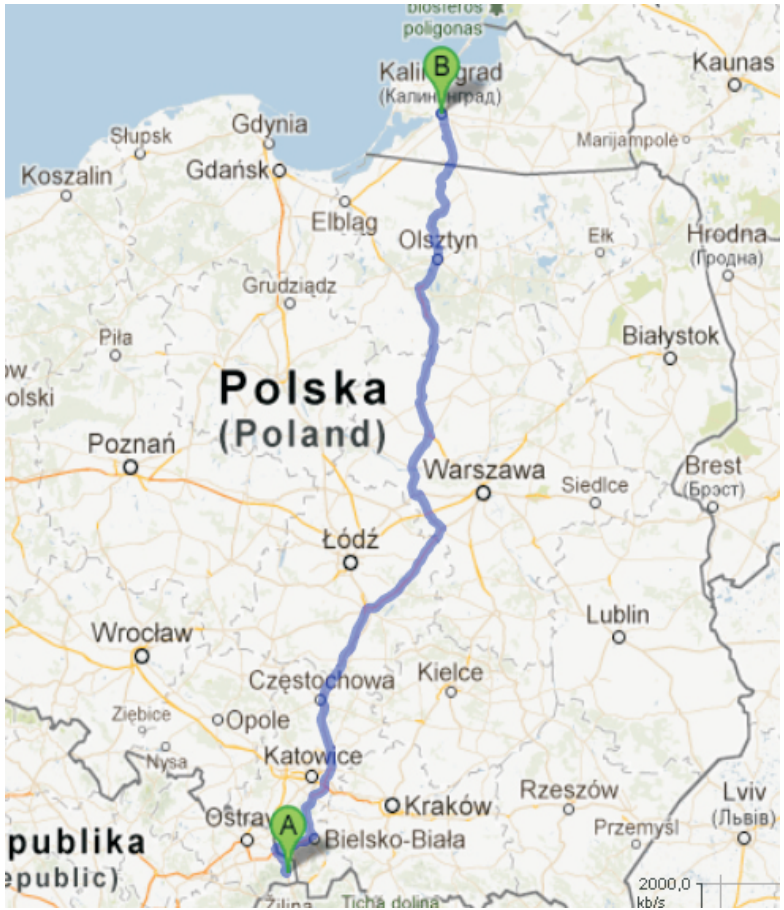

Klus Paweł
**1896 - ✝1945*

Klus Maria z domu Niedoba
**1900- ✝1971*

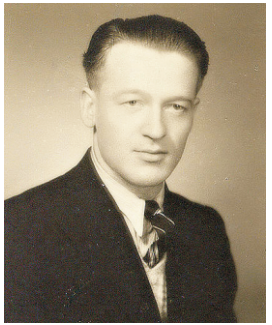

Klus Rudolf
**1922 - ✝1981*

Na przymusowych pracach w młynie

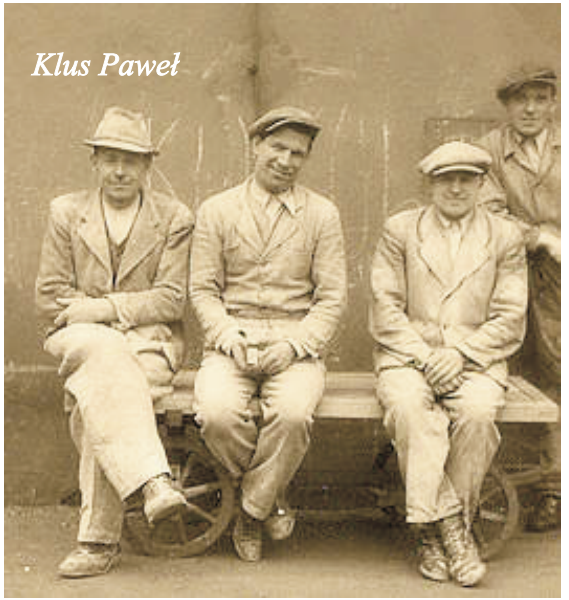

Jestem w posiadaniu chyba cudem ocalałych dokumentów, które dotyczą okresu osadzania Niemców w Milikowie a wywożenia miejscowych Polaków na roboty. Wynika z nich, że do naszego domu wprowadził się 24.9.1942 roku Niemiec z Rumunii razem z rodziną. Potwierdzają to wspomnienia mojego ojca i mojej babci. Byli to, według TRANSPORTLISTE, którą dołączam – Ferdinand Meitner urodzony w roku 1908, jego żona Anna urodzona w roku 1913 oraz ich syn Rudolf urodzony w roku 1936. Gdzie w Milikowie umieszczono innych wymienionych na liście Niemców, nie wiem.

Rodzina Meitnerów zajmowała się gospodarowaniem na naszych polach, pono ojciec rodziny był zatrudniony na koleji w Nawsiu, później był powołany do wermachtu. Jego żona mieszkała w naszym domu niemal do końca wojny, ale razem z innymi Niemcami i wraz z synem uciekała przed zbliżającym się frontem. Zdążyła zabrać niemal wszystko z naszego domu i z chlewa. Czy jechali daleko, nie wiadomo. Ponoć ta grupa niemieckich uciekinierów została zaatakowana przez partyzantów w okolicach Morawki.

Losy ojca

Mój ojciec Rudolf Klus był od roku 1940 na przymusowych robotach u gospodarzy w Tyrze oraz Milikowie – dołączam arbeitsbuch mojego ojca. Babcia Maria razem z moim ojcem w roku 1942 uciekła przed wywiezieniem do swojej siostry Joanny Kantorowej i szwagra Jerzego w Milikowie, gdzie przebywali do końca wojny.

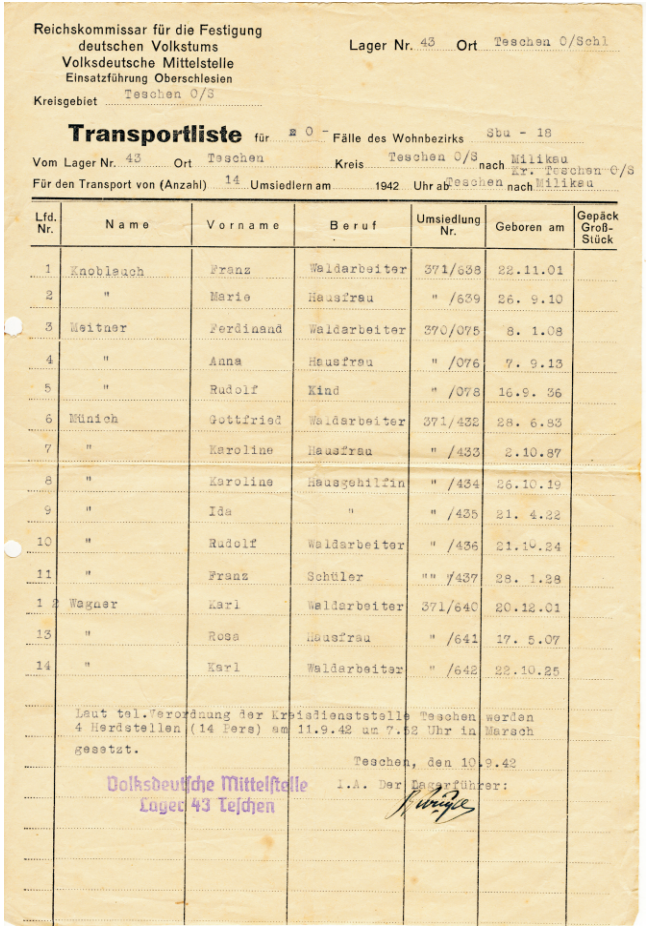

Reichskommissar für die Festigung deutschen Volkstums
Volksdeutsche Mittelstelle
Einsatzführung Oberschlesien
Kreisgebiet Teschen O/S

Lager Nr. 43 Ort Teschen O/Schl

Transportliste für Ø O - Fälle des Wohnbezirks Sbu - 18

Vom Lager Nr. 43 Ort Teschen Kreis Teschen O/S nach Milikau Kr. Teschen O/S

Für den Transport von (Anzahl) 14 Umsiedlern am 1942 Uhr ab Teschen nach Milikau

Lfd. Nr.	Name	Vorname	Beruf	Umsiedlung Nr.	Geboren am	Gepäck Groß-Stück
1	Knobleuch	Franz	Waldarbeiter	371/638	22.11.01	
2	"	Marie	Hausfrau	" /639	26. 9.10	
3	Meitner	Ferdinand	Waldarbeiter	370/075	8. 1.08	
4	"	Anna	Hausfrau	" /076	7. 9.13	
5	"	Rudolf	Kind	" /078	16.9. 36	
6	Münich	Gottfried	Waldarbeiter	371/432	28. 6.83	
7	"	Karoline	Hausfrau	" /433	2.10.87	
8	"	Karoline	Hausgehilfin	" /434	26.10.19	
9	"	Ida	"	" /435	21. 4.22	
10	"	Rudolf	Waldarbeiter	" /436	21.10.24	
11	"	Franz	Schüler	"" /437	28. 1.28	
12	Wagner	Karl	Waldarbeiter	371/640	20.12.01	
13	"	Rosa	Hausfrau	" /641	17. 5.07	
14	"	Karl	Waldarbeiter	" /642	22.10.25	

Laut tel. Verordnung der Kreisdienststelle Teschen werden 4 Herdstellen (14 Pers) am 11.9.42 um 7.32 Uhr in Marsch gesetzt.

Teschen, den 10.9.42

Volksdeutsche Mittelstelle Lager 43 Teschen

I.A. Der Lagerführer:

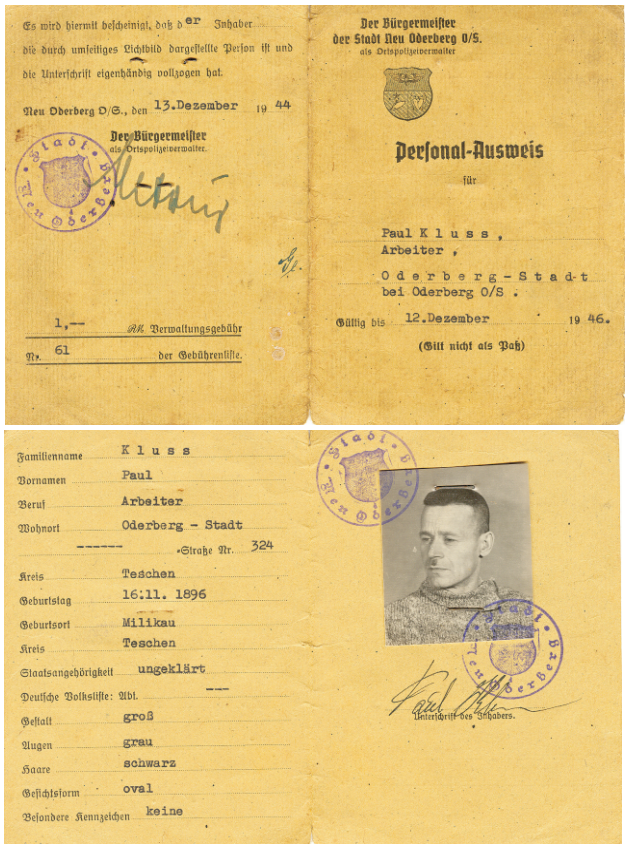

Es wird hiermit bescheinigt, daß der Inhaber die durch umseitiges Lichtbild dargestellte Person ist und die Unterschrift eigenhändig vollzogen hat.

Neu Oderberg O/S., den 13.Dezember 1944

Der Bürgermeister
als Ortspolizeiverwalter.

1,-- RM Verwaltungsgebühr

Nr. 61 der Gebührenliste.

Der Bürgermeister
der Stadt Neu Oderberg O/S.
als Ortspolizeiverwalter

Personal-Ausweis

für

Paul K l u s s ,
Arbeiter ,
O d e r b e r g - S t a d t
bei Oderberg O/S .

Gültig bis 12.Dezember 1946.

(Gilt nicht als Paß)

Familienname	K l u s s
Vornamen	Paul
Beruf	Arbeiter
Wohnort	Oderberg - Stadt
------ Straße Nr.	324
Kreis	Teschen
Geburtstag	16:11. 1896
Geburtsort	Milikau
Kreis	Teschen
Staatsangehörigkeit	ungeklärt
Deutsche Volksliste: Abt.	---
Gestalt	groß
Augen	grau
Haare	schwarz
Gesichtsform	oval
Besondere Kennzeichen	keine

Unterschrift des Inhabers.

Dowód osobisty Pawła Klusa

Od osiemdziesięcioletniej pani Mazurowej – z domu Lewińskiej – dowiedziałam się, że przed przyjściem Niemców do naszego domu babcia naszybko spakowała trochę rzeczy potrzebnych na co dzień (ubranie, pierzynę, obuwie...). Uciekając miedzami do swojej siostry, spotkała sąsiadkę Heczkową (od Bystrzyczanka) i poskarżyła się jej, że strasznie żałuje, bo w studni koło domu zostało 10 sztwiertek świeżo zrobionego masła. Sąsiadka była chętna a zarazem bardzo odważna po masło zajść, ale już tam byli Niemcy. Bardziej na migi niż słownie się z nimi porozumiewała, że chce nabrać wody i o dziwo Niemcy jej pozwolili. Ona wyciągnęła wiadro z masłem, które na górze było przykryte listkami chrzanu, czemu się Niemcy niesamowicie dziwili, na nich było trochę wody. Prędko wiadro z masłem odniosła. Oczywiście za odwagę i dobre serce jej babcia połowę masła dała. Ot tak za sąsiedzką pomoc.

Ojciec był wyznaczony do pracy jako parobek w gospodarstwie Heleny i Gustawa Zamarskich w Trzycieżu. Tam pracował do końca wojny. Tam też poznał moją mamę, która była siostrą Heleny. Ich ślub odbył się w roku 1947.

Losy dziadka Pawła Klusa

Dziadek był więziony w Lagrze w Cieszynie, potem we Frysztacie a następnie przydzielono go do pracy w Boguminie w młynie Niemca Stefana Jeziorskiego. Pracował tam od roku 1942 aż do końca wojny. Niestety tam nabawił się pylicy płuc i zmarł trzy miesiące po wojnie.

Pan Jeziorski był chyba solidnym człowiekiem. Razem z żoną i synem odwiedzali moją babcię a poza tym corocznie wysyłali życzenia świąteczne. Dla mnie ich odwiedziny zostały mglistym wspomnieniem.

Tutaj muszę wyrazić szczerą litość nad faktem, że dopiero teraz chcemy ożywić wspomnienia, ponieważ wielu naocznych świadków tamtych dni już nie żyje. Przykładem jest moja mama, której pamięć służyła do ostatnich dni życia a zmarła tak niedawno, bo dopiero w roku 2012.

Książka pracy Rudolfa Klusa

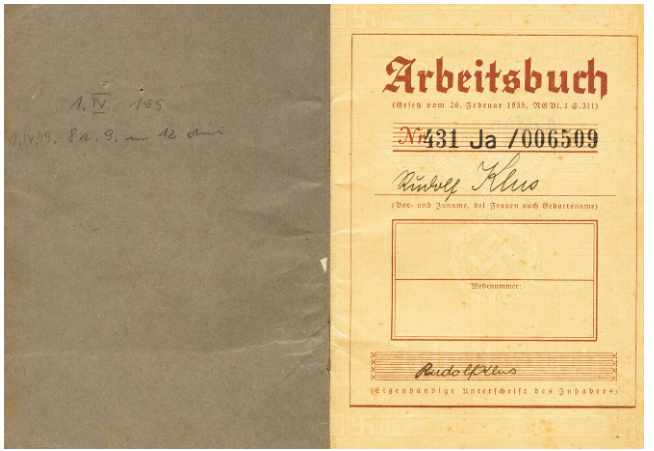

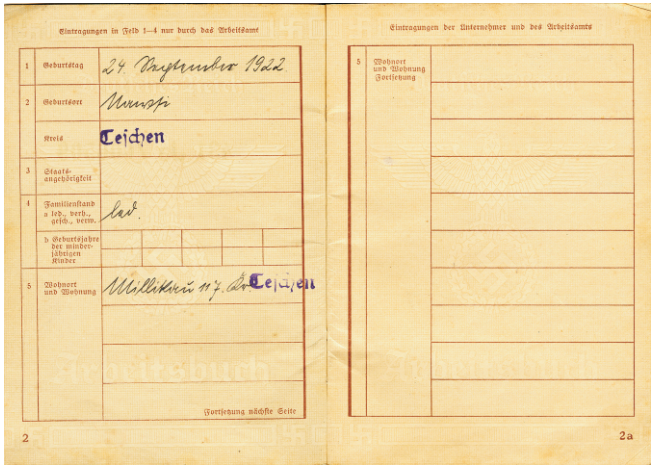

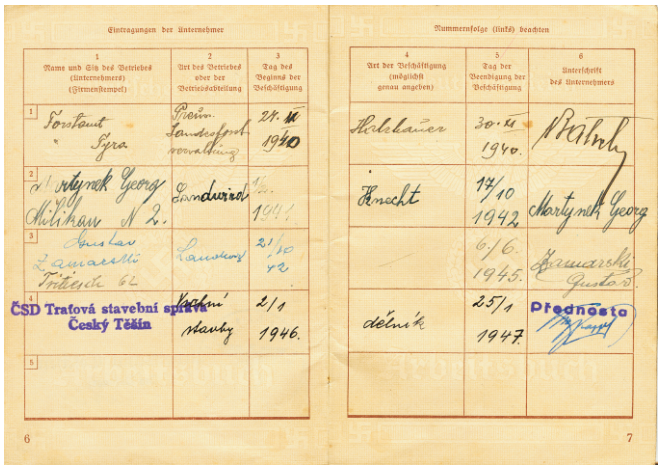

Szotkowski Paweł
**1911 - ✝1997*

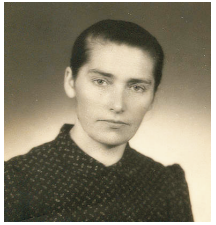

Szotkowska Anna
**1912- ✝1999*

Szotkowska Maria
**1936*

Szotkowska Anna
**1937- ✝2012*

Szotkowski Józef
**1938*

Szotkowski Paweł
**1940 - ✝1977*

Wójt z Milikowa, obywatel Kujawa, wiedział o tym, że do naszej wioski mają być osadzeni Niemcy z Rumunii – istnieje o tym dokument a tym jest „Transportliste" z dnia 11 września 1942 roku. Na jego podstawie polskie rodziny zostały wywiezione a niemieckie osadzone w Milikowie.

Spokrewniona z wójtem nasza rodzina dzień przed wywiezieniem się od niego dowiedziała, że po nas przyjedzie gestapo nocą (dokładnej daty nie znam). Ojciec i matka naładowali na wóz do „kosziny" czwórkę małych dzieci, trochę potrzebnych rzeczy do ubrania czy do kuchni, uwiązali za wozem krowę (co jako sześcioletnia dziewczynka dokładnie pamiętam) i uciekliśmy z Milikowa. Jechaliśmy bocznymi drogami do Jabłonkowa, dokładnie Na Lyski, gdzie mieszkali starzykowie Omyłowie. Oni nas przygarnęli pod swój dach. Ucieczka się jednak nie udała. Na drugi dzień przyjechało po nas gestapo. Ojciec prawie szykował się do roboty na tartaku (na Pile) w Nawsiu, w porę ich zauważył i udało mu się razem z naszą mamą przed nimi ukryć. My zostaliśmy ze starzikami – z babcią i dziadkiem – w domu. Pamiętam, jak z krzykiem gestapo przeszukiwało dom i wszystkie zabudowania gospodarcze. Szczęście nam dopisało, gestapowcy rodziców nie znaleźli. Później się dowiedziałam, że byli schowani w jakiejś dziurze przy potoku.

Gestapowcy nakazali starzykowi, żeby się ojciec zgłosił na posterunku gestapo zaraz na drugi dzień. Ojciec wypełnił nakaz. Tam się nad nim strasznie znęcano, bito go. Wprawdzie posiniaczony, ale wrócił do nas. Nakazano mu, żeby czekał w domu, że dowie się datę wywozu na roboty przymusowe. Wtedy pracował jeszcze na wspomnianym już tartaku. Majstrował tam w ten czas pan Fojcik, który chciał zostawić w robocie mojego ojca. Był nie tylko dobrym, ale też potrzebnym tam robotnikiem. Chyba jego zasługą gestapo ojca nie wysłało gdzie indziej na roboty. Mama zachorowała na gruźlicę, leczyła się w Jabłonkowie u Elżbietanek. Nami opiekowała się starka Omyłowa.

Nasz dom rodzinny

Do domu do Milikowa wróciliśmy wiosną 1944 roku, bo w naszej chałupie nikt nie mieszkał. Pole obgospodarowywał gospodarz „dwójkorz". Dopiero, jak mu partyzanci „dali nauczkę", oddał nam pole. Wiosną 1945 roku już tata mógł zrobić zasiewy na swoim. Nasza rodzina powiększyła się. Zaraz po wojnie przyszła na świat siostra Anielka a później siostra Bronka.

Pragnę jeszcze dodać, że pierwszą klasę nauki rozpoczęłam w Jabłonkowie w niemieckiej klasie. Były to dla mnie trudne lata. Język niemiecki był dla nas zupełnie obcy, nieznany. Dopiero w szkole pod wieżyczką w Milikowie po wojnie chodziłam do polskiej szkoły. Ten okres lubię wspominać.

Lata wojny na pewno należą do okresu trudnego dla wszystkich ludzi starszego pokolenia. Niewiele ich dziś jest wśród nas, ale dobrze, że są tacy, których interesują tamte dni, chcą o tym napisać.

Ćmiel Paweł
**1914 - ✝1993*

Ćmielowa Joanna
**1912- ✝2008*

ich dzieci:

Ćmielowa Emilia
**1936 - ✝2012*

Ćmielowa Helena
**1939*

Ćmielowa Anna
**1941*

Ćmielowa Maria
**1942*

Jesienią 1942 roku z Milikowa wywieziono trzy polskie rodziny. Nasi rodzice spodziewali się tego, że ich czeka taki sam los.

Wiosną 1943 roku ojciec, który pracował w Hucie Trzynieckiej, wracał z pracy do domu a z nim szli dwaj gestapowcy. Mama ich z daleka widziała – wspomina córka Maria, która wtedy miała osiem miesięcy. „Schowała mnie w krzakach nad bliskim potokiem. Pobiegła do swego ojca Jerzego Raszki, który przed wojną był wójtem Milikowa, by mu o tym powiedzieć. On jej poradził, żeby z dziećmi pozostała w domu. Przyjechali po nas wozem, na który rodzice jakieś rzeczy na szybko naładowali. Przedtem już mama dała do sąsiadów cenną na owe czasy maszynę do szycia i nawet jakieś kury. Naszą rodzinę wywieziono do Dolnej Łomnej, stosunkowo blisko. Powodem był chyba nasz ojciec, który był potrzebny do pracy w hucie. Z Łomnej ojciec dojeżdżał do Trzyńca”.

Dom w Łomnej

Rodzina została umieszczona w starej, zaniedbanej, pełnej szczurów ruderze. Warunki do życia w dodatku z małymi dziećmi były straszne. Mama pracowała u gazdów na roli, otrzymywała skromną zapłatę w formie ziemniaków czy mleka. Ojciec pracował często po 16 godzin w hucie, droga do pociągu i z powrotem – na skróty – prowadziła przez las. Raz wracając z pracy był naocznym świadkiem, jak Niemcy strzelali do partyzantów. Trudno mu było o tym nie myśleć a w dodatku jeden z „dwójkorzi" mu powiedział, że jego też może coś podobnego spotkać. Takie przeżycie się nigdy nie zapomina.

Dom w Milikowie

W naszym domu został umieszczony bauer. Był to Niemiec z Rumunii, człowiek (według słów ojca i sąsiadów) bardzo zły, bezwzględny, który uciekając pod koniec wojny z domu z Milikowa pozbierał wszystko z gospodarstwa. Jeszcze chciał, żeby nasz dom poszedł z dymem. Odjeżdżając, zapalił na środku naszej kuchni ognisko, ale zauważyl to sąsiad Kantor i dom uratował.

Po wojnie rodzina Ćmielów musiała zaczynać od zera, w domu nie zostało nic. Dobrzy ludzie pomagali. Na przykład z Mostów otrzymali rodzice od kogoś krowę (nazwisko darcy nie jest znane). Ojciec wtedy płakał ze wzruszenia. Pracy w hucie nie porzucił. Była jeszcze gorsza niż w czasie wojny a również i zarobek był niższy. Po wojnie przyszła na świat jeszcze siostra Wanda.

Rodzice nie otrzymali żadnego odszkodowania za straty poniesione z powodu wysiedlenia. Do tego okresu życia rodzice tylko rzadko wracali. Może myślami częściej, ale nam tego wiele nie poopowiadali. Na pewno był to najgorszy okres ich życia. Nie chcieli tylko, byśmy my, ich dzieci, musieli coś podobnego przeżywać.

Rodzina Kantorów w 1934 roku przed domem rodzinnym

Kantor Rudolf
**1927*

Kantor Paweł
**1922 - ✝1986*

Kantor Jan
**1933*

Z tego domu wywiezieni w roku 1942: Jerzy i Anna Kantorowie i ich dzieci Jan i Anna (urodzona w 1939 roku)

Nasza rodzina została wywieziona jesienią 1942 roku. Mieliśmy szybko opuścić wyposażony dom rodzinny i całe nasze gospodarstwo (6 hektarów pola), wszelki żywy inwenatrz, którego mieliśmy sporo. Serce się krajało. Strach ogarniał z nieznanego. Tyle pytań bez odpowiedzi. Co zabrać a co zostawić?

Rodzicom udało się naładować na czekający wóz trochę najbardziej potrzebnych rzeczy do życia, bo gestapo ponaglało „Heraus, heraus, shnell...". Nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą, wóz zatrzymał się przed szkołą w Milikowie, gdzie w tym czasie był brat Janek i rodzice go wzięli na wóz (wiem to z opowiadania brata). Jechaliśmy niedaleko, bo tylko do Jasienia. Naszym drugim domem został dom, z którego wiosną 1942 roku została wysiedlona na przymusowe roboty do Reichu rodzina Bocków (Walków).

Nasz nowy dom

Można powiedzieć, że los nam sprzyjał. Nie wywieziono nas w nieznane do Reichu. Zostaliśmy pod Kozubową. Ale nasz nowy dom był wyrabowany, gołe ściany, wybite szyby w oknach, ale dach nad głową mieliśmy, las był blisko, więc było trochę drzewa na opał.

Ojciec rozpoczął pracę w Trzyńcu w hucie. Jako Polak zarabiał skromnie, ale dało się przeżyć. Mama z dzichetką na plecach chodziła ponad 6 km (a to w jedną stronę) do sklepu do Nawsia – Harcowa. Najkrótsza droga prowadziła przez Milików akurat koło naszego domu Na Podolowicach. Z żalem patrzyła mama na bydło pasące się koło domu, którym się przedtem opiekowała. Tam w Jasieniu, na wygnaniu, nie mieliśmy żadnego bydła. Serce się jej krajało na widok niemieckiej flagi wiszącej w oknie szczytu domu. Symbolizowała ona mieszkańców, którzy tam teraz gazdowali.

Powrót do domu

W biedzie, ale przeżyliśmy te ciężkie czasy drugiej wojny światowej. Wszyscy wróciliśmy do domu, do tego własnego w Milikowie. I znowu pustka w domu i zagrodzie. Bauer wywiózł wszystko z naszej gospodarki, żywy i martwy inwentarz. Uciekając natrafił po drodze na zbliżający się front rosyjski. Ojciec się później dowiedział, że zostatwił skradzione nam maszyny rolnicze w Marklowicach. Starał się dostać wszystko z powrotem, ale Rosjanie mu nie pozwolili. Miał już wszystko gotowe do przewozu i... niestety.

Wiosną 1945 roku zaczęli rodzice gospodarować nie mając nic. Zaczynali od zera. Wspomagała ich rodzina i inni dobrzy ludzie. Z Oldrzychowic od krewnych otrzymaliśmy dwie krowy (potem wróciliśmy im cielęta). Martynek od Janiczka nam dał furę gnoja. Po wojnie niektórzy wywiezieni otrzymali skromne odszkodowania, my niestety nie otrzymaliśmy nic. Trudne, bardzo trudne to były czasy. Oby się nigdy nie powtórzyły.

Wspomnienia Ewy Kiedroń – Sikora od Grzibka z Kalinowego oraz Emilii Sikora od Ruckich

Bracia Klimoszowie to byli bracia Anny Sikora od Grzibka z Kalinowego.

Klimosz Karol
**1920 - ✝1944*

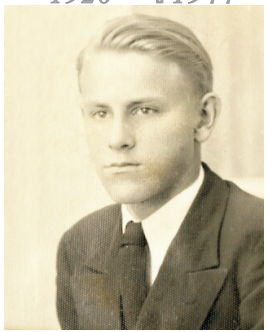

Klimosz Jan
**1923 - ✝1986*

Klimosz Józef z nagrodami za narciarstwo
**1919 - ✝1941*

Józef i Karol przed domem rodzinnym

Bracia Klimoszowie - Polacy, którzy podpisali Volkslistę

Bracia Józef i Karol należeli przed wojną do polskich organizacji sportowych. Osiągali sukcesy głównie w biegach i skokach narciarskich (wiz. zdjęcie – Józef z pucharami za skoki. Obaj są po sportowemu przed domem rodzinnym w Nawsiu). A jakie były ich losy?

Propagandzie niemieckiej najpierw uległ Józef. Został powołany do Wehrmachtu, wysłany najpierw do Francji, potem na front wschodni, gdzie w roku 1941 zginął pod Smoleńskiem.

Jan jako szesnastolatek był początkowo zaszeregowany do jednostki przygotowującej żołnierzy Wehrmachtu, później musiał walczyć, ale szczęśliwie wrócił do domu.

Karol już na początku wojny był jako Polak wysłany na przymusowe roboty do Reichu.

Karol Klimosz na robotach w Reichu

18.3.1943

26.8.1943

Zdjęcie na koniu z marca 1943 roku wysłał swojej mamie z datą na odwrocie.

Pomimo przestróg i rad mego ojca, by nie podpisywał Volkslisty, bo pójdzie na front, dał się obałamucić w Reichu prowadzonej propagandzie. Volkslistę podpisał, zaraz też musiał służyć w armii niemieckiej.

Zdjęcie z sierpnia 1943 roku – już w wermachcie.

Zginął w roku 1944. Miał symboliczny pogrzeb w kościele w Nawsiu, na który przyjechała z robót z Reichu nawet moja mama. Nasza stareczka po takich ciosach poważnie zachorowała i już nie mogła się nami opiekować. Więc nasza mama postanowiła nie odjeżdżać z powrotem do Reichu. Bauer ponaglał listownie, żeby wróciła, ale jej siostra Hela uzyskała zgodę urzędów i mama została z nami.

Losy pozostałych Polaków, którzy podpisali Volkslistę

Nie tylko w Jasieniu, ale też w Milikowie, w Nawsiu i indziej byli Polacy, którzy z różnych powodów – pod naciskiem, przez zastraszanie – podpisali Volkslistę. Co to takiego Volkslista była? Była to niemiecka lista narodowościowa wprowadzona 2 września 1940 roku. Wszyscy, którzy podpisali niemiecką listę narodowościową, podlegali prawu niemieckiemu. Oznaczyło to, że byli powoływani do służby we wszystkich formacjach wojska niemieckiego a potem ginęli jako żołnierze Wehrmachtu. Odmowa służby była jednoznaczna z wyrokiem śmierci za zdradę i represjami wymierzonymi w rodzinę.

W służbach Wehrmachtu walczyli i zginęli dwaj bracia Józef i Jan Martynkowie Ze Skosu, Jan Lisztwan (brat pani Zuzanny Chraścinowej) i wiele dalszych obywateli Jasienia, Nawsia i nie tylko. Wehrmacht to były oddziały zbrojne III Rzeszy utworzone przez Hitlera w roku 1935. Była to potężna siła zbrojna, która siała postrach w całej Europie.

Ci, co mieli więcej szczęścia, z wojny wrócili – np. Józef Chraścina, który był jako żołnierz Wehrmachtu na wyspie Jersey (obok Anglii) wzięty do alianckiej niewoli, wrócił do domu w roku 1948. Dlaczego tak późno? Niektórzy musieli pozostać w obozach jenieckich. Zachodnia propaganda nędzy wschodniego bloku miała wielki wpływ na decyzje żołnierzy, których wojna zastała na Zachodzie. O powrocie zadecydowała jednak tęsknota za rodzinnymi stronami. Między powracającymi byli Jan Chodura, Karol Rucki, Jan Sikora (Karczmarzyk) z Kurajki.

Niełatwo było na przymusowych robotach, ale niełatwo było w wojsku niemieckim. Śmierć czyhała wszędzie. Głód i nędza towarzyszyła żołnierzom na każdym kroku. Nie znali dnia ani godziny, kiedy przyjdzie im zginąć w walce za Hitlera. Byli to często chłopcy, którzy ukończyli zaledwie osiemnasty rok życia.

Między nieletnimi żołnierzami był pewien 17-letni Rudolf Krzyżanek z Bystrzycy, który tak oto wspominał ostatnie miesiące II wojny światowej: - *Robił jo w fabryce na municje. Naszo robota była niegodno. Psuli my co sie dało. Jo se moc nimogym spómnieć, jako to było, ale musioł jo iść do wycwiku jako wojok. Po jego skóńczyniu – było to pora dni – mie posłali na fróńt. Jo sie strasznie boł. Było to kajsi na rynku w mieście. Dostoł jo pancerfaust i że móm iść strzylać. Jechoł na przeciw mnie tank. Chwile jo stoł z pancerfaustym w rękach. Czym bliżyj był tank, tym więcej jo sie boł i... rzeznył jo pancerfaustym ło ziym i uciekoł kiela sił w nogach. Nie oglądoł jo sie za siebie...*"

Z opowiadań Karola Ruckiego przytoczę historię jednej bitwy, zaledwie kilka godzin jednego dnia. Było to we Francji na wybrzeżu. Walka toczyła się na ziemi i w powietrzu. Wydawało się, że ziemia i niebo to jedna całość a między tym człowiek

z bronią w ręku. *Kiedy ucichł zgiełk i wrzawa, podniosłem głowę...cisza...nikt się nie ruszał....tylko ja – wokół ludzkie ciała... mnóstwo ciał... trwały w bezruchu..... a tam jeszcze jeden dźwiga głowę... nie jestem sam... ale to faktycznie, tylko my dwaj... było to straszne.....”*

Niektórym udało się z niemieckiego wojska uciec na stronę aliantów i walczyć przeciw Hitlerowi. Z Jasienia byli to np. Jerzy Sikora (Znad Cesty), Jan Widenka (Spod Losków) czy Jan Gazur, któremu udało się już jako polskiemu żołnierzowi przeżyć grozę walk pod Monte Casino. Do nich należy też Paweł Rucki z Jasienia, który służył u generała Maczka. Po wojnie pozostał w Anglii.

Podobnych historii jest na pewno w każdej rodzinie sporo. Należałoby je tylko zebrać. Często jednak nie pamiętamy już dokładnie szczegółów a ci, którzy przeżyli ten okres, już nie są wśród nas. II wojna światowa dokonała wielu potwornych zniszczeń i pozostawiła okrutne wspomnienia.

Chłopak z książki Wańkowicza

Pan Jan Gazur (*1925 - ✝2011) od roku 1950 obywatel Jasienia, człowiek niesamowicie mądry, uprzejmy, zawsze uśmiechnięty i bardzo pracowity. Każda chwila spędzona w jego towarzystwie należy do niezapomnianych. Jego żona Emilia wiernie towarzyszyła mu przez całe życie, przykładne to było małżeństwo. Na pewno zasługuje na to, by jego historia spod Monte Cassino znalała się w naszej publikacji.

”.....Gdy przeciwuderzenie niemieckie kosztem naszych sześciu zabitych i dwu rannych granatami odparto – w stronę naszych stanowisk pędzi jak oszalały młodzik w niemieckim mundurze. Żołnierze chwytają za broń. – Dyć nie strzylejcie, jo Polok. Jo Polok. – Ze Śląska Zaolziańskiego – woła wpadłszy wreszcie między swoich, nie mogąc złapać tchu. I kiedy trup Tadzia Gasińskiego leży jeszcze pod bunkrem, Jasio Gazur z Jabłonkowa, nie znając sprzętu, ujmuje nosze i nosi pod ogniem rannych. Jasio Gazur z Jabłonkowa, przybyły z armii niemieckiej na uzupełnienie Tadzia Gasińskiego z niewoli rosyjskiej...”. Tak pisał Melchior Wańkowicz w „Bitwie o Monte Cassino”. Tak rzeczywiście było, odpowiadał zawsze pan Gazur. To wszystko odbywało się 17 maja 1944 roku. Niewielu jest na Zaolziu ludzi, o których pisałby Melchior Wańkowicz.

Na wojnę wyruszył z Piosecznej

Pan Jan Gazur mieszkał w Nawsiu-Jasieniu, gdzie się przyżenił. Urodził się 30.11.1925 roku na Piosecznej. Ojciec Józef był hutnikiem, matka Teresa prowadziła gospodarstwo domowe. Janek miał czwórkę rodzeństwa. – Najstarszy brat, Antek, był zesłany na roboty przymusowe, a później za drobny incydent – znaleziono przy koledze jego list, w którym niechwalebnie wyrażał się o Niemcach - trafił do obozu koncentracyjnego Birkenau. Zmarł w trakcie marszu śmierci do Mauthausen – wspominał zawsze pan Gazur. Kiedy Antka zamknięto w obozie, ojciec pod wpływem pogróżek podpisał Volkslistę. I z tego właśnie powodu Jan jako niepełnoletni w sierpniu 1943 roku został powołany do armii niemieckiej. Najpierw trafił do miasta Diedenhofen, a potem został

przetransportowany do okupowanej Francji, do miasta Verdun, gdzie ćwiczono ich dniem i nocą na tamtejszym systemie fortyfikacyjnym. W grudniu wyjechał ze swoją jednostką do Włoch. W Sylwestra wsadzono ich do wagonów towarowych. Jechali przez Bawarię, Austrię, przez małe okienka widzieli zbombardowane Monachium. – *To nie dodawało nam otuchy. Baliśmy się, co przyniosą najbliższe dni* – mawiał Gazur.

Wspominał, że właśnie nie umiał porozumiewać się po niemiecku. Znał tylko rozkazy. Na szczęście było kilku kolegów znad Olzy, z którymi można było porozmawiać gwarą – Hanke z Orłowej, Brożyna z Łazów, Sikora z Milikowa.

We Włoszech zakwaterowano jednostkę w mieście Morino. Tam zaczęto przekwalifikowywać młodych piechurów na strzelców górskich. – Później przesunęliśmy się do miasta Sora i przydzielono nas do bojowych formacji, mnie do Setnego Pułku Wysokogórskiego. Było nas tam trzech z Zaolzia: Sikora z Bogumina, Walek z Cieszyna i ja, z Piosecznej. Pewnego dnia wezwał nas szef kompanii i oświadczył: *„Jeden z was musi jechać na front, ktoś musi się zgłosić na ochotnika”*. Ochotnika nie było, losowaliśmy. Sięgnąłem po zapałkę jako drugi. Była bez główki. Kiedy znalazłem się na froncie, pod Monte Cassino, była ciemna kwietniowa noc 1944 roku. Słyszę donośny, spokojny głos pana Gazura, jak wspominał swój wojenny los.

Z armii niemieckiej do polskiej

– Przez przypadek dowiedziałem się od pewnego niemieckiego majora, że pod Monte Cassino walczą Polacy. Ogromnie mnie to podniosło na duchu, postanowiłem zrobić wszystko, żeby przebiec na drugą stronę frontu do swoich . Wszystko jednak wskazywało na to, że ucieczka może się nie udać. Miałem bowiem zostać przydzielony do przybocznego oddziału dowódcy kompanii, który miał kwaterę w dużym, wieloosobowym bunkrze. Kiedy jednak dowodzący oficer dowiedział się, że Gazur nie zna niemieckiego, zapadła inna decyzja. Trafiłem do oddziału obergefreitera Bauera, do obsługi karabinu maszynowego.

I do jednoosobowego bunkra, co mi ogromnie odpowiadało. Ucieczka na polską stronę wydawała się być coraz bardziej realna. Bo chciałem uciec bez świadków, żeby nie zemszczono się na rodzinie w Piosecznej – wspominał Gazur we swych wykładach dla młodzieży. Miał szczęście. Kiedy 17 maja nad ranem rozpoczął się ostrzał artyleryjski i jego koledzy z kompanii rzucili się do ucieczki, Gazur zrozumiał, że nadarza się okazja. – *Ja pozostałem w bunkrze, na terenie, który w tej*

chwili nie należał do nikogo. Po chwili zobaczyłem posuwających się wolno polskich żołnierzy. Dwaj z nich stanęli wprost na wierzchu bunkra, nie domyślając się, że ja tam jestem. Usłyszałem nareszcie polskie słowa. W pewnym momencie uświadomili sobie, że to nie jest naturalna nora. Jeden z nich postanowił sprawdzić, co się kryje we wnętrzu – wspominał pan Gazur. To była jedna z najtrudniejszych chwil w jego życiu. Żołnierz mógł przecież sprawdzić wnętrze bunkra salwą z karabinu lub granatem. Na szczęście przyszły towarzysz broni ani myślał badać sytuacji w ten sposób. Po prostu wsadził głowę pod kryjącą wejście szmatę. – Dyć nie strzylejcie, jo je Polok – powiedziałem i odetchnąłem z ulgą. Byłem wśród swoich" (Głos Ludu 6.2.2010)

Pod znakiem orła

Potem było tak, jak wszystko opisał Wańkowicz. Młody Zaolziak w niemieckim mundurze ujmuje z jednej strony nosze, by pomóc sanitariuszowi. Razem odnieśli nosze z ciężko rannym żołnierzem – pod ogniem niemieckiej artylerii i broni maszynowej – do punktu opatrunkowego. – W końcu dotarłem do samego dowództwa 2. Polskiego Korpusu, gdzie byłem szczegółowo przesłuchany. Po moim oświadczenu, że wstępuję do Armii Polskiej, nie zostałem odesłany do obozu jenieckiego, ale wprost do 7. Dywizji w San Basiglio w południowych Włoszech – snuł swe wspomnienia pan Gazur.

Po przeszkoleniu na alianckim sprzęcie został skierowany do 3. Dywizji Strzelców Karpackich, z którą przeszedł szlak bojowy od Ancony po miasto Cattolica. Potem była Linia Gotów, Appeniny, wreszcie Bolonia. Tam zastał go koniec wojny. Do domu wrócił jednak dopiero 30 kwietnia 1947 roku. Wcześniej ukończył we Włoszech pomyślnie szkołę podoficerską, a do domu wracał przez... Anglię. Wiedział, że czescy policjanci robili problemy. Żeby dotrzeć na Zaolzie to czasem nawet należało zmienić narodowość z polskiej na czeską. – My na szczęście, mieliśmy pełne kieszenie amerykańskich papierosów. To pomogło. W ostatnim dniu kwietnia byłem w domu. Wszyscy byli, zabrakło tylko brata Antka...

Tych z Zachodu do huty nie brali

I to nie koniec ciekawego losu chłopaka z Piosecznej. Zamierzał zatrudnić się w Hucie Trzyniec. W biurze powiedziano mu jednak, że tych „z Zachodu nie biorą". Brali za to na kopalni. Przez 33 lata pracował na 1 Maja. Z Jasienia, gdzie

zamieszkał w 1950 roku z żoną Emilią, chodził codziennie na dworzec kolejowy w Nawsiu na piechotę. Dlatego może tak długo zachował wyśmienitą kondycję i pogodę ducha. Oryginalny mundur i wiele pamiątek z tamtych czasów trafiło do Archiwum Wojskowego Historii Śląska Cieszyńskiego w Jabłonkowie. – Niech tam są prezentowane młodzieży, niech młodzi uczą się na nich trudnej historii tego skrawka ziemi – kończy swe opowiadania pan Jan Gazur.

Zanotowała Emilia Sikorowa czerpiąc ze wspomnień, boć pan Jan Gazur w tamtych czasach miewiał dla dzieci i młodzieży wykłady, ale nie można o tym było mówić oficjalnie. Był świetnym mówcą. Umiał zainteresować. Czerpała również z Głosu Ludu z 6 lutego 2010.

Jan Gazur na spotkaniu z dziećmi w 1984 roku

Podsumowanie

Zastanawiamy się czasem nad fenomenem tego skrawka ziemi, rozciągającego się po lewej stronie naszej rzeki Olzy. Zaolzie – tak zwykło się mówić. Dlaczego? Leży przecie za rzeką Olzą patrząc od strony Polski i stąd jego geograficzna nazwa. Czyżby chodziło o miejsce wyjątkowe? Może nawet tak. Życie było tu zawsze trudne. Słowo było dla wszystkich ważniejsze od chleba. Bili się tutejsi ludzie za swe słowo ojczyste już w czasie wieców ludowych w 19. stuleciu, potem po podziale Śląska Cieszyńskiego w 1920 roku, po I wojnie światowej a oczywiście w czasie II wojny światowej też nie zapominali, jakim językiem mówili ich pradziadowie.

- Dyć przeca po naszymu śpiywają nawet ptaki i szumią beskidzkie lasy - mówiła pani Kawulokowa Spod Cesty. Myśl tę potwierdza Karol Daniel Kadłubiec: – Słowo ojczyste kultywowane na Zaolziu poprzez stulecia jest przecie staropolskie i cieszyńskie, ogarnęło ono nawet twórczość tutejszych autorów. Nasz świat kryje się w naszej mowie.

Popołudnie wspomnień było żywym przykładem powyższych słów i wspaniałym pomysłem organizatorów. Sala Domu Kultury w Jasieniu była wypełniona nie tylko starszymi ludźmi . Przybyła również młodzież, by posłuchać jak toczyła się historia w tej maleńkiej osadzie w czasie II wojny światowej. Jak to ich dziadkowie i pradziadkowie nie wyparli się swej przynależności narodowej.

Wspominający losy swych najbliższych, często mówili z nutką nostalgii, że nic takiego nie zorganizowano w czasie, kiedy naoczni świadkowie jeszcze byli wśród nas. Wielu z nich swe wspomnienia musiało przerywać, boć łzy same cisnęły się pod powieki , a głos zostawał gdzieś w gardle.

Emilia Sikora

Spis treści

Drodzyczytelnicy 2
Wprowadzenie 3
Rodzina Szkanderów (Łomniaków) nr 35 7
Wspomnienia Emilli Gazurowej 9
Wspomnienia Anny Jadamusowej 10
Rodzina Bocków (Walków) nr 153. 12
Opowiada Józef Bocek 13
Opowiada Wacław Kapsia 20
Rodzina Kantorów (od Kary) nr 155. 21
Rodzina Kantora Adama. 23
Rodzina Kawuloków (z Chałup) nr 153 25
Wspomina Zofia Łabajowa 26
Wspomina Anna Kaletowa. 27
Kartki, które przesyłał Jerzy z pracy w kopalni. . 30
Rodzina Kawuloków (z Chałup) nr 154 33
Opowiada Ewa Kaletowa 34
Rodzina Kawuloków(Spod Cesty) nr 31 36
Z audycji radiowej z lat 80tych 38
Z pamiętnika Zuzanny Kawulokowej 39
Rodzina Sikorów (Grzibków) nr 172 - Władysław . . . 47
Rodzina Sikorów (Grzibków) nr 172 - Jan. 49
Wspomnienia Stanisława i Józefa Sikorów (Grzibków) 51
Historia jednego pierścionka 57
Rodzina Sikorów (Grzibków)nr 51 61
Wspomnienia Anny Szokałowej 62
Opowiada Ewa Kiedroń 65
Wspomnienia Heleny Pyszkowej 69
Wspomnienia Anny Sikorowej 71
Rodzina Łoboziaków - Nawsie nr 49 73
Wspomina Stanisława Juskowa 74
Rodzina Stańców - Nawsie nr 428 76
Wspomina Marta Prokelowa. 77
Rodzina Kantorów - Nawsie nr 274 79
Wspomnienia Adama Kantora 80
Rodzina Szlaurów - Nawsie 215. 84
Rodzina Michałków - Nawsie 422 85
Rodziny Janiczków - Nawsie nr 118, 119. 86
Inne rodziny wywiezione z Nawsia 87
Rodzina Klusów - Milików nr 117 90
Wspomnienia Ireny Cieślar 91
Rodzina Szotkowskich - Milików nr 4. 95
Wspomnienia Marii Pyszkowej 96
Rodzina Ćmielów - Milików nr 53 98
Wspomnienia sióstr Heleny i Marii (z domu Ćmiel) 99
Rodzina Kantorów - Milików Podolowice nr 122. . . 100
Wspomnienia Anny Kobieluszowej 101
Bracia Klimoszowie 103
Losy pozostałych Polaków, którzy podpisali Volklistę. 106
Chłopak z książki Wańkowicza 108
Podsumowanie 112

Wydawca : MK PZKO Jasienie

Redakcja: Ewa Kiedroń, Emilia Sikora, Jan Kawulok

Autorzy tekstów:
Ewa Kiedroń, Emilia Sikora, Emilia Gazur, Anna Jadamusowa, Józef Bocek,Wacław Kapsia, Ewa Raszkowa, Anna Kaletowa, Zofia Łabajowa, Ewa Kaletowa, Józef, Zuzanna i Jan Kawulokowie, Stanisław i Józef Sikorowie, Michał Staszowski, Anna Szokałowa, Helena Pyszkowa, Anna Sikorowa, Stanisława Juskowa, Marta Prokelowa, Adam Kantor, Irena Cieślar, Maria Pyszkowa, Helena Sikorowa, Maria Łyskowa, Anna Kobieluszowa

Korekta: Halina Szczotka

Opracowanie graficzne: Janina Podgrabinska

Druk: T-Print Trzyniec

Wydanie: Pierwsze

Nakład: 250

2013

Wsparcia finansowego przy wydaniu książki Popołudnie Wspomnień, oraz przy zorganizowaniu pierwszego i drugiego spotkania pod tym samym tytułem, udzieliły firmy, osoby prywatne oraz organizacje :

JAP TRADING, Bystrzyca
Firma budowlana Roberta Szotkowskiego, Dolna Łomna
Salon Sukien Ślubnych „Barbara", Bystrzyca
Elektrousługi - Petr Sikora , Nawsie
NETIS, Nawsie
Zakład stolarski - Adam Michalik, Nawsie

JUDr Józef Kawulok, Bystrzyca
P. Józef Tvrdý, Nydek

Urząd Gminy Nawsie
MK PZKO Nawsie
MK PZKO Nawsie-Jasienie

Wszystkim darczyńcom serdecznie dziękujemy.

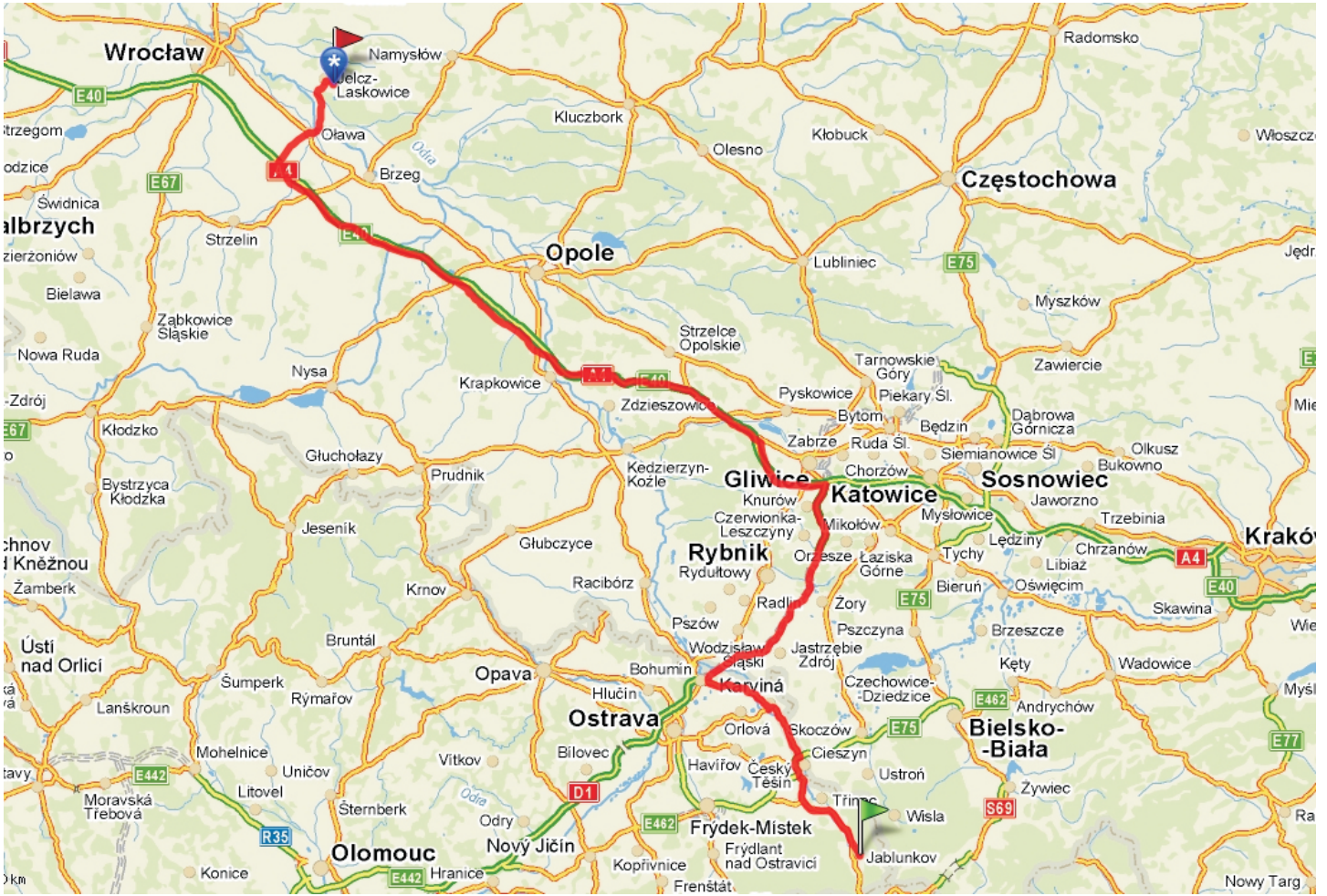
Wrocław
Namysłów
Oława
Brzeg
Kluczbork
Olesno
Kłobuck
Częstochowa
Opole
Lubliniec
Myszków
Strzelce Opolskie
Krapkowice
Zdzieszowice
Nysa
Strzelin
Ząbkowice Śląskie
Bielawa
Nowa Ruda
Świdnica
Kłodzko
Głuchołazy
Prudnik
Bystrzyca Kłodzka
Jeseník
Głubczyce
Racibórz
Krnov
Žamberk
Ústí nad Orlicí
Bruntál
Šumperk
Rýmařov
Lanškroun
Mohelnice
Unićov
Litovel
Moravská Třebová
Šternberk
Olomouc
Konice
Hranice
Nový Jičín
Odry
Opava
Hlučín
Bohumín
Ostrava
Karviná
Havířov
Český Těšín
Třinec
Frýdek-Místek
Frýdlant nad Ostravicí
Jablunkov
Wisła
Vítkov
Bílovec
Orlová
Skoczów
Cieszyn
Ustroń
Żywiec
Bielsko-Biała
Czechowice-Dziedzice
Pszczyna
Pszów
Wodzisław Śląski
Jastrzębie Zdrój
Rydułtowy
Rybnik
Radlin
Żory
Gliwice
Knurów
Czerwionka-Leszczyny
Kedzierzyn-Koźle
Pyskowice
Zabrze
Bytom
Ruda Śl.
Tarnowskie Góry
Piekary Śl.
Będzin
Chorzów
Katowice
Mikołów
Mysłowice
Siemianowice Śl.
Dąbrowa Górnicza
Sosnowiec
Jaworzno
Trzebinia
Olkusz
Bukowno
Zawiercie
Lędziny
Tychy
Chrzanów
Libiąż
Oświęcim
Bieruń
Skawina
Brzeszcze
Kęty
Wadowice
Andrychów
Laziska Górne
Orzesze
Kraków
Myślenice
Nowy Targ
Radomsko
Włoszczowa
Jędrzejów
Mielec
Dębica
Tarnów
Brzesko
Wieliczka
Oświęcim
Zator
Kalwaria Zebrzydowska
Wadowice
Andrychów
Żywiec
Ustroń
Cieszyn
Czeski Těšín
Třinec
Frýdek-Místek
Frýdlant nad Ostravicí
Jablunkov
Wisła
Skoczów
Orlová
Karviná
Bohumín
Hlučín
Ostrava
Opava
Bílovec
Vítkov
Nový Jičín
Odry
Šternberk
Olomouc
Hranice
Konice
Litovel
Moravská Třebová
Mohelnice
Unićov
Šumperk
Rýmařov
Lanškroun
Bruntál
Ústí nad Orlicí
Žamberk
Krnov
Racibórz
Głubczyce
Prudnik
Jeseník
Głuchołazy
Kłodzko
Bystrzyca Kłodzka
Nowa Ruda
Ząbkowice Śląskie
Bielawa
Strzelin
Świdnica
Brzeg
Oława
Namysłów
Kluczbork
Olesno
Kłobuck
Częstochowa
Lubliniec
Myszków
Strzelce Opolskie
Krapkowice
Zdzieszowice
Nysa
Opole
Zawiercie
Tarnowskie Góry
Piekary Śl.
Pyskowice
Bytom
Będzin
Dąbrowa Górnicza
Zabrze
Ruda Śl.
Siemianowice Śl.
Olkusz
Bukowno
Chorzów
Katowice
Gliwice
Sosnowiec
Jaworzno
Trzebinia
Mysłowice
Mikołów
Czerwionka-Leszczyny
Knurów
Kedzierzyn-Koźle
Rybnik
Rydułtowy
Radlin
Żory
Lędziny
Tychy
Chrzanów
Libiąż
Oświęcim
Bieruń
Skawina
Brzeszcze
Kęty
Wadowice
Andrychów
Pszczyna
Pszów
Wodzisław Śląski
Jastrzębie Zdrój
Czechowice-Dziedzice
Bielsko-Biała
Laziska Górne
Orzesze
Kraków
Myślenice
Nowy Targ
Radomsko
Włoszczowa
Jędrzejów
Mielec
Dębica
Tarnów
Brzesko
Wieliczka
Zator
Kalwaria Zebrzydowska
E40
E67
E75
A4
E462
E442
D1
S69
E77
R35